
Współczesne zagadnienia podstawowe Nr. 5.

G. KURTH.

Kościół w okresach przełomowych historii.

Z francuskiego przełożył

X. Antoni Szymański.



WARSZAWA.

Księgarnia „Kronika Rodzinna“ Podwale 4.

1913.

Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Nr. 6

G. KURTH.

Kościół w okresach

Kościół w okresach przełomowych historii.

X. ANTONI SZYMBORSKI.

DRUKARNIA PROLETARIA
o o WARSZAWA o o
o o TAJNY TYNOWE o o

1923

Współczesne zagadnienia podstawowe Nr. 4.

G. KURTH.

Kościół w okresach
przełomowych historii.

Z francuskiego przełożył

X. ANTONI SZYMAŃSKI.



DRUKARNIA SPOŁECZNA

o o WARSZAWA o o

UL. NOWY ŚWIAT № 43.

WARSZAWA.

Księgarnia „Kronika Rodzinna“ Podwałe 4.

1913.

30.000,-

Wydawnictwo Zakład Wydawniczy „Wiedza”

G. KURTH



217389

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

X. RYTONI SZYMANSKI

D-86/93

IV

Autor niniejszej pracy, profesor uniwersytetu w Liège, należy do najwybitniejszych katolickich historyków cywilizacji. Oto główne jego dzieła: *Les origines de la civilisation moderne*, 2 t. Paris, 1905, jest polski przekład, ale stary;*) *Histoire poétique des Mérovingiens*, Paris, 1895; *Clovis*, 1901; *S-te Clotilde*, Paris; *S-t Boniface*, Paris; *Notger de Liège et la civilisation au X s.* Paris, 2 t.

Książka, którą przedstawiam polskiemu czytelnikowi, jest dokonaniem przez autora, streszczeniem wykładów, mianych w Anvers 1897 -- 1898 r. w *Extension universitaire pour femme*. Stąd popularny charakter wykładu, brak ostatecznego wykończenia w szczegółach i aparatu krytycznego. Bo też nie jest ona przeznaczona dla uczonych specjalistów. W takiej formie, w jakiej jest, mam nadzieję, spełni swe zadanie i u nas. Ogółowi inteligentnemu da zrozumienie dziejów Kościoła, wskaże ten niepożyty boski pierwiastek, który tkwi w naszym Kościele, a przez

*) G. Kurth, *Początki Cywilizacji Chrześcijańskiej*, przekład. Warszawa, 1888. Nakładem „Przeglądu Katolickiego”. Również *Przegląd Powszechny*, Kraków, 1898, t. 57, str. 1-16 drukował w tłum. polsk. odczyt G. Kurtha, *Co to są Średnie Wieki?*

to ugruntuje wiarę, ułatwi ocenę współczesnych stosunków i odszukanie drogi postępowania.

* * *

Socjolodzy, wyznający materialistyczne pojmowanie dziejów, są zdania, że cała nadbudowa ideologiczna wprost lub pośrednio zależy od stosunków ekonomicznych społeczeństwa. Niniejsze studium Kurtha znakomicie zadaje kłam tym twierdzeniom. Na przekór panującym stosunkom natchnienie, idea, zwykle z wysocza zesłana, pielęgnowana w niewielu umysłach, żyła samodzielnie, a potem zaczynała walkę z tymi właśnie stosunkami i zwyciężała. Dziejów Kościoła naszego nikt nie wytłomaczy za pomocą ekonomicznego podłoża.

* * *

Kościół porzuca tych, z którymi żył i działał, o ile się sami skazują na zagubę. Swej przyszłości nie chce łączyć z ginącym światem. Ale to nie jest sprzeniewierzenie się sojuszowi. Właśnie jakaś jednostka ginie dlatego, że sprzeniewierzyła się Prawdzie, głoszonej przez Kościół, lub niedorosła do podjęcia nowego zadania. Więc nie Kościół winien temu opuszczeniu. Bo dopóki jednostka indywidualna czy zbiorowa, nie sprzeniewierza się Kościołowi, dopóki trwa niezłomnie przy Nowem Prawie, dopóty czerpie niebывałą moc ze skarbcza siły kościelnej i śmierci się nie boi.

* * *

W wykładzie czwartym autor mówi, że zaczęta w 14 w. walka ześwieczonego państwa przeciw Kościołowi jeszcze rozegrana nie jest i że wynik tej walki dla ustępujących już z widowni dziejowej ludzi stanowi najważniejsze współczesne zagadnienie. Gdy autor pisał te słowa, fizjonomia działalności papieskiej Piusa X nie była jeszcze dość wyraźna. Dzisiaj już

napewno powiedzieć musimy, że zbliżamy się do kulminacyjnej chwili walki, że Papież koncentruje szeregi katolickie, opiera je na mocnej podstawie czystości nauki i że siłą rzeczy musi nastąpić gwałtowne starcie między ześwieczone „państwem“ zarówno w politycznej, jak ekonomicznej i społecznej dziedzinie a zcentralizowanym i naprężonym religijnym życiem Kościoła. A jak dawniej, tak i teraz—w tym boju ostatecznym zwycięstwo musi być po stronie Prawdy i Życia.

Tłumacz.

WSTĘP.

Powołanie Kościoła.

Gdy się rozważa całość dziejów ludzkości, to łatwo spostrzedz, iż dzielią się one na dwie części: z jednej strony świat starożytny, pogrążony w ciemnościach śmierci, z drugiej— świat nowożytny, kroczący w świetle Ewangelii. Jest to największy fakt w historii; innego podobnego mu niemasz.

Przeciwieństwo, dzielące te dwa światy, jest wyraźne i bezwzględne. Niema nic tak żywego, jeśli tak można rzec, jak owa linia zatrzymania się, co je przegradza. To nie jest niedostrzegalna i stopniowa ewolucya, przez którą ludzkość przechodzi z jednego stadyum do drugiego, ale natchnienie, nadzmysłowe pchnięcie, które ludzkość jakoby przerzuca od razu stąd tam. Czas tego wydarzenia znamy wszyscy, wzięliśmy go za początek naszej ery.

Tak, era chrześcijańska otwiera roczniki nowego stworzenia i nowej ludzkości

Co jest życiową zasadą tego nowego stworzenia? Nowy ideał, przyniesiony przez Chrystusa Pana na świat, lub, by użyć prostoty słów ewangelicznych, to, co P. Jezus sam nazwał Nowem Prawem, *mandatum novum*. Złożone do łona ludzkości na podobieństwo owego kwasu—podobieństwo to znów wzięte od Niego, — przez niewiastę wrzuconego do mąki, ono wywołuje w niej fermentację, która przemienia nawet najoporniejsze składniki. Trzeba zostawić ten kwas samemu sobie, aby swobodnie działał: im mniej znajdzie przeszkód, tem bardziej zasadniczy i pożywniejszy będzie chleb cywilizacji.

Zasada cywilizacji chrześcijańskiej pozostaje w istotnej opozycji do podstawy starożytnego społeczeństwa. Porównajcie jeno oba światy a poza licznymi, spostrzeganymi na powierzchni podobieństwami, ujrzycie w gruncie rzeczy nieprzebyty przedział między ich podstawowymi ideami. Nie jest to różnica stopnia, ale różnica istoty, odnosząca się do najważniejszych zagadnień i najżywotniejszych spraw ludzkości. Albowiem te dwie społeczności dzieli różność pojęcia, czem jest życie, różność odpowiedzi na zagadkę istnienia.

Teoretycznie, w formie wyraźnego zagadnienia, starożytność nie postawiła sobie tego pytania nigdy, zresztą nie próbowałaby go rozwiązać, aniby umiała. Natomiast w praktyce

dała ona na nie odpowiedź, która się złą okazała. Chrystyanizm zaś śmiało sobie postawił to pytanie i rozwiązał je zwycięzko.

Dlaczego człowiek znalazł się na ziemi i jaki jest cel jego tu istnienia? Czy czasem nie jest on nikłym widzem obrazu stworzenia albo narzędziem jakiejś wyższej niż jego misji, albo nieszczęśliwą igraszka ślepych sił, szarpiących jego zmysłami i sercem? A może to ze względu na tkwiące w głębi jego istoty sprzeczności i na nieskończoną zdolność cierpienia, może to poroniony plód natury i igraszka wiecznego złudzenia? Czy ma on jaką przyszłość do zdobycia, jaki cel do osiągnięcia i czy ta przyszłość oraz ten cel warte wysiłków, które ponosi? Lub może jest tylko przypadkowym i nieszczęsnym połączeniem składników, związanych na krótki przeciąg czasu wspólnością cierpienia i radości, składników, które niezadługo muszą się rozłączyć i później znowu połączyć w nieskończonym cyklu przerażających konieczności?

Na te pytania chrześcijaństwo odpowiada jasno i z zupełną pewnością.

Człowiek nie jest dzieckiem przypadku, ale dziełem Boga. Bóg go uczynił królem stworzenia: dał mu rozum, by wszystko poznawał; serce, by rzeczy stworzone miłował; wolę, by się do woli Bożej stosował. Jego krokom wytknął drogę, którą iść należy; nauczył go prawa, które należało zachować; obiecał mu dobro wieczne, jako zapłatę za wierność Zakonowi. Innymi słowy,

Bóg z wierności, którą człowiek ma zachować względem najwyższego dobra, uczynił warunek najwyższej jego szczęśliwości.

Tego uczy chrześcijaństwo.

I przez tę cbiętnicę szczęśliwości zbliża do siebie wszystkie religie i filozofie. Ale one nie mają siły, aby się wznieść aż do samych źródeł, czystych i wielkich, skąd wypływa prawdziwe szczęście dla rodzaju ludzkiego. To też miotają się tylko w pospolitem i gorączkowym dążeniu do szczęścia. Obiecują je człowiekowi, ale nie mają o niem takiego pojęcia, jakie ma chrześcijaństwo. Dobro, którego każą się spodziewać, choćby nawet dało szczęście, nie ma przymiotów, zapewniających mu trwałość. Nie jest bezwzględne, ani czyste, ani wieczne, — przeciwnie, jest sumą uciech, nie przekraczających ani trwania czasu, ani granic ziemi, ani pojęcia ludzkości. Słowem, to nieszczęście, lecz przyjemność, bądź wyższego czasami porządku, gdy polega na upojeniu się sławą — i to się odnosi do dusz najszlachetniejszych; bądź niższego i poziomego, gdy się ogranicza do pospolitych używań zmysłowych — i to jest strawą tłumy. W każdym razie bez względu na to, czy jest umysłowa, czy materialna, zmysłowa, przyjemność ta jest tylko cieniem, albo lepiej pozorem szczęścia. A jednakże tę przyjemność, i ją tylko, starożytność miała odwagę przyrzec ludziom i możność zapewnienia jej garstce wybrańców. *Felicitas romana* — owej fikcji tak

drogiej mężom stanu w państwie Cezarów, nigdy inaczej nie rozumiano.

I trzeba było bardzo skomplikowanej maszyny, aby urzeczywistnić to nędzne szczęście. I trzeba było zgromadzić zdolności wszystkich ludzi i złożyć je w ręce wytworzonego przez nich bytu, zwanego Państwem. Posiadając wszystką władzę i wszystkie prawa, które niegdyś mogły być udziałem wszystkich jego członków razem i każdego oddzielnie, Państwo podjęło się dostarczenia im całej sumy uciech, które stanowiły dla nich ideał szczęścia. Dwa słowa obejmują te rozkosze: próżnowanie i rozkosz zmysłów. Spożywać chleb bez pracy, trawić czas na bawieniu się, to było maximum szczęśliwości takiej, jak ją pojmowała starożytność.

Było to mało, a jednakże jak niewielu ludzi mogło korzystać z tej małej szczęśliwości. Z natury rzeczy ona mogła być udziałem tylko mniejszości. Wszak, jeśli człowiek żyje bez pracy, to musi zmuszać innych, by pracowali dla niego; jeśli żyje w rozkoszach, potrzebuje całego tłumy tych, którzyby go bawili. Przeto dla dostarczenia uprzywilejowanym przez Państwo chleba i przyjemności, istniał cały legion wszelkiego rodzaju niewolników. Ziemski raj wybrańców miał za odpowiednik ziemskie piekło tłumów, a czy za tę cenę byliż wybrani pewni swej szczęśliwości? Nie, wszak oni umierali z niesmaku i nudów. Taką bowiem jest

opatrznościowa fatalność, przywiązana do ziemskich używań. Wzięta za cel, rozkosz jest okrutnym bogiem, co pożera swych czcicieli. Śród rozkoszy wybrańcy świata czuli, że ich chwyta za gardło duch śmierci, ukryty w zatrutych uciechach. Widzieli, jak wysychają wszystkie źródła dobrobytu, zasilane niegdyś świętym trudem pracy. Już nikt inny nie bronił cesarstwa, jeno barbarzyńcy, i już tylko sami niewolnicy wykonywali prace publiczne; opuszczone przez rolnictwo wsie już nic nie były zdolne wytwarzać; stany społeczne, przeredzały się w sposób przerażający. Taka szczęśliwość, jak ją rozumiał świat starożytny, była powolnym samobójstwem społeczeństwa.

W ten sposób wylaniało się powszechne nieszczęście z samej podstawy tej cywilizacji, która przyrzekała szczęśliwość tutaj na ziemi.

Szczęście chrześcijańskie posiada ogół cech, z gruntu przeciwnych cechom felicitatis romanae. Ono bowiem polega na posiadaniu Najwyższego dobra, t. j. na połączeniu się z Bogiem. Jest doskonale, jak Bóg, który jest jego zasadą; jest bez żadnego braku, wieczne; jest dla wszystkich, o ile będą posłuszni Prawu miłości: miłować Boga nadewszystko i bliźniego jak siebie samego. Niemasz pogańskiego szczęścia bez jednoczesnej konieczności nieszczęśliwego położenia większości ludzi. Chrześcijanin zaś może być tylko wtedy szczęśliwy, gdy swego szczęścia udziela możliwie wielkiej licz-

bie bliźnich. Czyni to codziennie wprost, dając jałmużnę, pośrednio przez umartwienie i pracę. Umartwiając się, oswobadza niewolników swoich rozkoszy; pracując, wytwarza bogactwo, które powiększa dobrobyt bliźnich. Z zasady, społeczeństwo chrześcijańskie jest społeczeństwem braci; pogańskie zaś, również z zasady, społeczeństwem niewolników.

Nie wystarcza poznać tylko różnicę, albo dokładniej, sprzeczność obu zasad. Trzeba nam nadto zobaczyć, w jaki sposób mogła się przyjąć zasada chrześcijańska w społeczeństwie ludzkim, chociaż gwałt zadaje naturze; w jaki sposób mogła przetrwać, mimo wojny, jaką jej wypowiedziały wszystkie namiętności, wreszcie jak mogła się stać przewodniczką i światłem lepszej części ludzkości? Dlaczego te słowa, zwiastujące niegdyś Nowe Prawo, panują zawsze nad rozwojem naszej cywilizacji, jako ideał, podnoszony bardzo wysoko przez tych nawet, którzy o nich w życiu zapominają, gdy tymczasem tyle innych złotych słów, wypowiedzianych przez mędrców, doznało losu owych przyjemnych, wydzielanych przez kwiaty zapachów, które atoli, po krótkiej chwili zapełniania wonią swego środowiska, rozpraszają się i nikną w powietrzu, tak, że jedynie wspomnienia zostawiają ślady?

Na to Wiara chrześcijańska odpowiada, że te słowa są boskimi. Słowa Jezusa Chrystusa, wedle Jego obietnicy, nie przemina nigdy. Wier-

nemu zaś, który chce sobie zdać sprawę ze swej wiary, nie zabroniono badać, co uczyniła Opatrzność, ażeby swemu słowu wiecznotrwalemu zapewnić należy wpływ na ludzi. Jeśli chrześcijaństwo było czemś więcej, niż szczytną, filozoficzną doktryną, jeśli było zasadą życia i działania, która przeniknęła, wzruszyła i odmieniła świat, to dla tego, że się odrazu znalazło w koniecznych do życia i do trwania na ziemi warunkach. Zostało ono bowiem wcielone t. j. obleczone ciałem, połączonem z niem substancjalnie, jako ze swą duszą. Ciałem tem i narzędziem, przez które chrześcijaństwo działa jest K o ś c i ó ł.

Kościół — to ów potężny i niezepsowny organizm, stworzony na to, by był w łonie ludzkości zbiornikiem boskiego życia chrystyanizmu, by je rozsiewał po świecie i odnawiał u źródła. Był on od początku doskonały, ponieważ, by spełnić swe zadanie, musiał w samym sobie posiadać źródło życia; niezależny, najwyższy, by mu nikt nie przeszkadzał; powszechny, dla objęcia wszystkich ludzi; wieczny — dla objęcia wszystkich pokoleń. Przez niego i w nim rodzaj ludzki urzeczywistnia swe nadprzyrodzone zadanie, t. j. zdobycie i posiadanie w radości najwyższego Dobra. On wyzuwa Państwo z kierownictwa życiem moralnem, pozostawiając mu w zamian dział wcale piękny, bo to, co po wsze czasy sobie przyznawał. Zostawia mu ziemię—szczyt jego marzeń, a zabiera

dla siebie niebo, o które ono nie dba. Państwo jest społeczeństwem ciał, Kościół—będzie społeczeństwem dusz. Ono jest królestwem ludzi, on będzie królestwem Bożem. Kościół nie wypowiada państwu wojny, przeciwnie, wyciąga doń rękę. Jeśli w niem ma pomoc, błogosławi je; jeśli ono szanuje swą wolność, on nie żąda niczego innego, ale skoro ono chce cios zadać, on raczej wyleje wszystką swą krew, niżby miał go dobrowolnie przyjąć. Albowiem Kościół nie może się zrzec swojej misji. Jemu powierzono, jako właściwe zadanie, nauczanie wszystkich narodów. Jest więc odpowiedzialny przed Bogiem za zbawienie ludzkości. Każdy człowiek ma prawo od niego żądać z tego sprawy.

Jak Kościół wypełnił swoje zadanie? Czy miał zawsze w ciągu ubiegłych dziewiętnastu wieków zrozumienie licznych i zmiennych zagadnień, które przed nim stawały? Czy potrafił, jako ojciec rodziny, o którym mówi Ewangelia, wydostać ze swego skarbcza wieczne prawdy, co kompromisom nie podlegają, wraz z nowymi zastosowaniami, co się zmieniają wedle potrzeb czasu i miejsca? Czy umiał do wszystkich wieków przemawiać ich językiem i zbratać się z geniuszami tych wszystkich narodów, które spotkał na swej drodze? Zali był i zali został społeczeństwem naprawdę powszechnem i wiecznem, które zawiera w sobie całą cywilizację, lub może jest tylko jedną z tych efemerycznych



form, w które ludzkość, w danej chwili, wciela swe wiecznie zmienne dążenia?

Na te pytania chcemy poniżej odpowiedzieć!

To, co się przesunie przed naszymi oczyma, będzie wielkiem; co więcej, ośmielam się rzec, że nad ten obraz niemasz w historii, ani większego, ani bardziej pouczającego. Nie do mnie należy przesądzać o płynących stąd wnioskach, ale kto może wątpić o ważności tych wniosków i o ich wymowności? Będą one same przez się tak wymowne, że wystarczy trochę uwagi, aby je zrozumieć.

Nasz zamiar jest skromniejszy, ale zarazem i ważniejszy, niż Pytagorasa, który chciał usłyszeć muzykę, wytwarzaną przez ciągle krążenie sfer świata. My będziemy się starali zrozumieć głos, który się wydobywa z wielkich zjawisk historycznych, a który, w pewnej mierze, jest głosem Boga.

WYKŁAD I.

Kościół i Żydzi.

W dzisiejszym wykładzie postaram się odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób chrześcijaństwo stało się religią powszechną?

Na pierwszy rzut oka, zdaje się, pytanie zbyt trudne. Dla nas ludzi współczesnych rzecz to oczywista, że chrześcijaństwo jest ze swej istoty religią rodzaju ludzkiego, że, otrzymawszy misję opowiadania Ewangelii wszelkiemu stworzeniu, nie może się jej wyzbyć pod grozą zaguby. To rozumowanie dostateczne dla wierzącego, nie zaspokoi ciekawości historyka. Jego bowiem zaciekawia nietyle koniec drogi, dokąd się zaszło, ile raczej droga, którą wybrano, by tam dojść. Przeto postawione wyżej pytanie tak się przedstawia: jakie zawady przeszkadzały chrześcijaństwu stać się religią powszechną i w jaki sposób ono je zwyciężyło?

Wielką przeszkodą albo raczej najwyższem niebezpieczeństwem, które groziło Kościołowi

w pierwszych wiekach, była niewiadomość, jakie zająć stanowisko wobec Starego Zakonu i wobec Izraela. Wieki wprawdzie z wyrazistością nadzwyczajną rozwiązały to zagadnienie, każde dziś dziecko wie, w jaki sposób. Między odrzuconym, zamkniętym w swej synagodze Izraelem a ludem Boga, zgrupowanym około Kościoła, niemasz nic wspólnego. Ale w chwili powstania Kościoła rzecz się przedstawiała inaczej. Nietylko żaden chrześcijanin nie widział w Izraelu odrzuconego narodu, ale przeciwnie wszyscy z apostołami na czele uważali Żydów za naród wybrany. Sami będąc Żydami i wyznawcami Mojżeszowego Prawa, widzieli w chrześcijaństwie dopełnienie Zakonu, a w Kościele wspaniałą owoc, co miał ukoronować korzeń z pokolenia Jessego.

I czyż wtedy można było myśleć inaczej? Wieki całe Izrael oczekiwał Mesjasza, który, wedle obietnic prorockich, miał utworzyć Królestwo Boże na ziemi i sprawić, by sprawiedliwość i pokój na niej panowały. Kwestya, czy owo królestwo miało być doczesnem, jak wierzyła większość Żydów, lub duchowem, jak wyznawali od początku chrześcijaństwa, zdawała się być małego znaczenia, albowiem dla wszystkich było rzeczą pewną, że to Królestwo wyjdzie z Izraela. Wszak naród to Żydowski otrzymał boskie obietnice! Wszak to Abrahamowi objawiono, że jego potomstwo będzie wieczne jako gwiazdy na niebie a Dawidowi, że Bóg uczynił Przymierze z jego

domem i że z tego domu wyjdzie Pożądany Narodów! Wszak to Izrael był stróżem Prawa, które Chrystus, jak sam mówił, przyszedł uzupełnić a nie usunąć! Wszak On powiedział jeszcze, że przyszedł najpierw dla owiec zgubionych z Izraela i polecił apostołom, by zaczęły opowiadanie Ewangelii od Żydów.

Czyż więc w myśli ówczesnych ludzi Kościół mógł być czem innym, jak tylko rozszerzeniem się Izraela, nowym wykwitem z domu Jakóba? Kościół był żydowskim zupełnie: Żydem był jego założyciel, Żydami — apostołowie i uczniowie, Żydami — pierwsi wyznawcy. Trzy tysiące ludzi, ochrzczonych przez św. Piotra w dzień zesłania Ducha Św. w Jerozolimie, to Żydzi z rozproszenia. I gdy Piotr do nich przemawiał: „Niechaj tedy wie za pewne wszystek dom Izraelski, iż Go i Panem i Chrystusem uczynił Bóg, któregoście wy ukrzyżowali“¹⁾, to się zwracał do nich wyłącznie jako do Żydów. I później, gdy apostołowie i uczniowie nieśli Dobrą Nowinę poza granice Judei, to się zatrzymywali tylko w tych miastach, gdzie się osiedlili Żydzi, zachodzili do dzielnic przez nich zamieszkałych, nawiedzali synagogi i tam ogłaszali wszystkim, że Mojżesz Proroków już przyszedł, zowie się Jezus z Nazaretu. Słowem, wszędzie, na całym świecie, jako i w Jerozolimie, Kościół opierał o synagogę, a pierwsze

¹⁾ Dz. Ap. 2: 36.

zgromadzenia chrześcijańskie były zgromadzeniami Żydów.

Nie znaczy to, by Kościół chrześcijański żydowskiej narodowości miał zamykać swe bramy dla pogan. Przeciwnie, on marzył o tem, by objąć w swe ramiona wszystkie narody tak, jak to mu Chrystus Pan polecił. Sam nawet naród Żydowski nie odgradzał się nigdy tak szczerze od reszty rodzaju ludzkiego, jak mu to zarzucają źle powiadomieni historycy. Zawsze pracował, by zdobyć dla swej wiary nowych wyznawców, a czynił to gorliwie i szczerze. Ewangelia o tem świadczy: „Biada wam doktorowie i faryzeusze obłudnicy, iż obchodzicie morze i suchą, abyście uczynili jednego nowego Żydowina; a gdy się stanie, czynicie go synem piekła dwakroć więcej niż was“¹⁾.

Więc naród Żydowski był otoczony tłumem nawróconych: jedni z nich zwani „prozelitami bramy“, mogli przestąpić jedynie bramę pierwszej części Jerozolimskiej świątyni, wierzili oni w prawdziwego Boga, odrzekli się bałwochwalstwa oraz wypełniali siedem przykazań przyrodzonego prawa; —inni, zwani: „prozelitami sprawiedliwości“, przyjmowali całą religię Żydowską i zobowiązywali się do zachowywania wszystkich jej bez wyjątku nakazów. Przeszedłszy przez obrzęd obrzezania, mieli oni te

¹⁾ Mat. 23: 15.

same prawa i obowiązki, co i Izraelici z urodzenia.

W ten sposób aby się stać wyznawcą prawdziwego Boga, nawrócony — jeśli wolno użyć nowoczesnego wyrażenia—musiał się naturalizować jako Żyd. Był to konieczny warunek. Prozelici sprawiedliwości przez obrzęd obrzezania posiadli prawo naturalizacji; odtąd należeli nie tylko do synagogi, ale nadto stanowili część narodu Żydowskiego. Prozelici bramy, dla tego że byli mniej użydowieni, zostali wykluczeni od udziału w kulcie Żydowskim, mieli dla siebie świątynię zamkniętą, byli tylko klientami i pozostawali jeno pod opieką Żydów albo, jeśli kto woli, byli to Żydzi drugiego stopnia. Słowem, nie zaprzeczając żadnemu człowiekowi prawa oddawania na równi ze sobą czci prawdziwego Boga, Izrael sądził, że każdy z tych czcicieli otrzymujących odeń niejako inwestyturę, winien się stać w mniejszej lub większej mierze Żydem, stosownie do tego, czy mniej lub więcej chciał korzystać z przysługujących Izraelitom praw. Naród Żydowski uważał siebie za główne, środkowe jądro rodziny prawdziwych czcicieli Boga, za rodzinę naczelną; mniemał, że jest dla reszty ludzkości tem, czem Lewi wśród pokoleń; rasą, oznaczoną na zawsze znakiem umiłowania, pokoleniem kapłańskim, pośredniczącem niejako między Bogiem a ludzkością.

Pierwsi chrześcijanie, [sami będąc Żydami przeniesli do chrześcijaństwa ten żydowski spo-

sób patrzenia na rzeczy. Oni widzieli w Kościele synagogę wyższego wprawdzie rzędu, której Bóg objawił znaczenie ciemnych prorocstw, ale zawsze synagogę, do której nie można było wejść, nie będąc z urodzenia lub z usynowienia członkiem narodu Izraelskiego. A czyż takie żądanie, by nawróceni wyzbyli się jednocześnie swej narodowości i swego kultu, mogło być dobrym środkiem doprowadzenia ludów do przyjęcia Ewangelii? Jeśli zwrócimy uwagę na to, ile złego sprawiają dzisiaj katolickiemu apostołowaniu i rozszerzaniu się Ewangelii drażliwości narodowościowe, nieraz zupełnie uzasadnione, to możemy sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby ongi narzucano narodom najnieznośniejsze upokorzenie, mianowicie wyrzeczenie się samych siebie. Weźmy przykład. Jeśliby dzisiaj narody, które pragniemy widzieć w połączeniu z nami jednością wiary, jeśliby, mówię protestanci niemieccy, anglikanie i schyzmatycy, musieli zostać Francuzami, aby się mogli stać katolikami, czyżby to przyspieszyło ich nawrócenie i czy wogóle byłaby jaka nadzieja, że oni będą wyznawali naszą wiarę? A przecież Francya to naród wielki i sławny, posiadający poważanie całego świata, nawet tych, co ją nienawidzą, gdy tymczasem Żydzi byli narodem pogardzanym powszechnie, przedmiotem nienawiści całego rodzaju ludzkiego, jak mówi Tacyt, byli tymi, o których opowiadano oburzające rzeczy. Wyrzec się swych cech narodowych Greka lub Rzymianina, to nie

tylko było zaprzeć się tradycyi narodowych, ale nadto wyzbyć się wesela serca dla nieswojskości i śmieszności, dla przywdziania na siebie narodowości, będącej pośmiewiskiem w oczach cywilizacyi.

Tak więc, skutek swych pretensyi do przewodniczenia w Królestwie Bożem, Izrael stał się przeszkodą w szerzeniu Ewangelii. Gdyby był zajął miejsce pośrednika między Zbawicielem a rodzajem ludzkim, toby się ten odsunął od Zbawcy. To oczywiście dla nas, którzy z należytej odległości, by dobrze widzieć, patrzymy na tę epokę i którzy też mamy dość wolności ducha, by sprawiedliwie rozumować. Lecz innem było położenie tych chrześcijan czy Żydów, którzy żyli wśród powstających wydarzeń i nie mogli przewidzieć przyszłego obrotu rzeczy. Nie będąc prorokami, jakóż mogli go przewidzieć? Nie mając szczególnego objawienia, jakóż mogli się ośmielić na wybranie drogi? Apostołowie sami nie wiedzieli, co począć. Ewangelia nie dała im rozwiązania, oni byli dziećmi Izraela i nie powinni się byli narażać na kalumnie — czyż więc mogli, czyż byli powinni być w tych warunkach czem innem, niż dobrymi patriotami i wiernymi zachowawcami Prawa Mojżeszowego? W rzeczy samej, tem byli wszyscy. Wszak skończonym wyobrazicielem prawdziwego Żyda, którego czcił cały naród i z miłością nazywał sprawiedliwym, był właśnie apostoł, co więcej, krewny Jezusa, Jakób Mniejszy. Zaiste i tacy

ludzie nie mogli przewidzieć grożącego Kościołowi od judaizmu śmiertelnego niebezpieczeństwa ani, tem mniej zerwać węzłów, które zdawało się związały na zawsze Kościół ze Synagogą.

Po ludzku mówiąc, chrześcijaństwo od pierwszej chwili było w położeniu bez wyjścia. Pozostawało religią narodową i nie stawało się powszechną. Było wydarzeniem w wewnętrznej historii judaizmu, rewolucją religijną, która mogła poruszyć tylko Żyda a wywołać lekceważącą ciekawość reszty świata. Paganie nie potrzebowali o riem więcej wiedzieć nad to, co napisał Sweton lub Tacyt, że niewielki naród, będąc wskutek swego fanatyzmu ohydą ludzkości, został pewnego dnia wstrząśnięty głoszonymi przez niejakiego Chrestusa nowinkami i że, by położyć koniec temu nieporządkowi, wypędzono Żydów z Rzymu.

Na ten to właśnie czas przypada nadzwyczajne wydarzenie, opisane szczegółowo w *Dziejach Apostolskich*. Niech mi będzie wolno przytoczyć cały opis tego wydarzenia. — Dzieje chrześcijaństwa nie znają innej, bardziej przełomowej chwili.

Był w Cezarei Palestyńskiej mąż niektórym imieniem Korneliusz, rotmistrz roty. Był to człowiek sprawiedliwy i bojący się Boga. Pewnego dnia ukazał mu się Anioł i oznajmił, że jego modlitwy były przyjemne Panu, że ma posłać do Joppy po Szymona Piotra, mieszkającego u skórnikarza na brzegu morza. Korneliusz, po-

ślusznym, posłał do Joppy 3 ludzi. *Dzieje* dalej opowiadają: „A nazajutrz, gdy oni byli w drodze i przybliżali się do miasta, wszedł Piotr na płaski dach domu, aby się modlił o godzinie szóstej. A gdy łaknął, chciał jeść. A gdy oni gotowali, przyszło nań zachwycenie. I ujrzał niebo otwórzony, a zstępujące naczynie jakieś, jakoby prześcieradło wielkie na cztery końce spuszczone z nieba ku ziemi, w którym były wszystkie czworonogie i ziemiopłazy i ptactwa niebieskie. I stał się głos do niego: Wstań, Piotrze, zabijaj a jedz! A Piotr rzekł: Nie daj tego Panie, gdyżem nigdy nie jadł nic pospolitego i nieczystego, A głos zasię powtóre do niego: Co Bóg oczyścił, ty nie zów pospolitem. A to się po trzykroć stało — i wnet naczynie wzięte jest do nieba. A gdy Piotr sam w sobie wątpił, coby za widzenie było, które widział — alic mężowie, którzy od Korneliusza byli posłani, pytający się o domu Szymonowym, stanęli u drzwi. A gdy zawołali, pytali, jeśliby Szymon, którego zowią Piotrem, tam gospodę miał. A gdy Piotr rozmyślał o widzeniu, rzekł mu Duch: oto cię szukają trzej mężowie, wstań tedy, znijdź, a idź z nimi, nic nie wątpiąc, bom ich ja posłał“¹⁾.

Posłuszny Duchowi Św. Piotr poszedł z wysłańcami do Cezarei, ochrzcił Korneliusza i cały jego dom. Był to pierwszy w Kościele poganin, co nie przeszedł przez Synagogę.

¹⁾ Dz. Ap. 10: 9—20.

Widzenie św. Piotra to boskie rozwiązanie śmiertelnego pytania. W formie bardzo wyrazistej symboliki, głosi ono, że Stare Prawo już nie obowiązuje chrześcijan i że skutkiem tego można być chrześcijaninem, nie będąc Żydem. Kościół odtąd już nie będzie zgromadzeniem narodu Żydowskiego, przeciwnie będzie to międzynarodowa społeczność, gdzie się spotkają, jako bracia, bez różnicy obrządku ni rasy, Żyd i poganin, pan i niewolnik, biedny i bogaty. Naprózno Izrael obiecuje sobie pierwsze miejsce w królestwie bożem! Izrael może zginąć a próżni nie będzie; jego misya skończona, jego miejsce zajmie teraz Izrael duchowy, złożony ze wszystkich wiernych.

Łatwo zrozumieć, jakie wstrząśnienie w Jeruzolimie wywołała wiadomość o chrzcie w Cezarei. Św. Piotra interpelowano, musiał się tłumaczyć. Wyjaśniał, że działał jedynie na rozkaz Pana, przeciwnicy przeto musieli milczeć. Wierni zaś powtarzali sobie: „Więc Pan i poganom dał pokutę i zbawienie“?

Mogłoby się zdawać, że wszystkie już teraz trudności znikły i że w Kościele, któremu sam Bóg drogę wskazał, nie będzie już ani dysput, ani wahania się. Ale takie przypuszczenie byłoby oznaką nieznamomości namiętności doktrynalnych. Ci chrześcijanie, co patryotyzm Żydowski stawiali wyżej od swej chrześcijańskiej wiary, nie wyrzekli się drogiej sobie idei o przywileju Izraelowym. Ta idea była, jeśli tak rzec wolno,

z ich krwi i z ich ciała; ona była jednym ze składników ich wiary, co więcej, utożsamiała się, zdaniem ich, z wiarą chrześcijańską. Przeto zdaje się, że chrzest w Cezarei uważali za wyjątek cudowny a nie za regułę. Kto wie, zresztą, czy oni uznawali to widzenie Piotrowe, kto wie, czy Piotra nie uważali za marzyciela i wizyonera? Bądź co bądź, jak dawniej trzymali się z niezłomnym uporem swych mniemań — (jakgdyby Św. Piotr wcale inaczej nie pouczył), że chrześcijaninem można zostać jedynie po przyjęciu naturalizacji żydowskiej.

Tak rzeczy stały, gdy pewnego dnia nadeszły do Jeruzalem wieści, stokroć groźniejsze, niż wiadomość o chrzcie jednej rodziny pogańskiej. Opowiadano, że w Antyochii, w tem wielkiem mieście, będącem królową Wschodu, wierni opowiadali ewangelię poganom i przyjmowali ich do swej społeczności przez udzielenie chrztu tylko, nie zachowując żadnych praktyk zakonnych. Przemieniwszy wyjątek cezarejski na zasadę, nie wkładali na nowonawróconych posłuszeństwa obrządkowi Żydowskiemu, ani ich obowiązywali do zachowywania zasadniczej różnicy między pokarmami czystymi i nieczystymi, natomiast zwalniali ich od wszystkich przepisów Prawa, słowem — przenosili dziedzictwo Izraela na synów, którzy nie chcieli Izraela mieć za ojca. Na domiar złego, jakby dla zaznaczenia, że zaczynają nową tradycję, a zrywają z przeszłością, chełpili się sfabrykowaną przez się

w Antyochii a nieznaną dotąd wśród wiernych nazwę — chrześcijan!

Tym razem wieści te wywołały wielkie zgorszenie. Nie ma co tać. Nowatorzy z Antyochii wywracają hierarchiczny porządek między narodami, niszczą przywilej Izraela i doprowadzają naród Boga do tego, że odtąd zginie śród masy przybyszów wszelkiego pochodzenia, przybyszów, mających najść Kościół. Jeśliby zwyciężyli, byłoby to dla ogniska wiernych pierwszej godziny, które obejmowało najbardziej oddanych Chrystusowi uczniów, czemś w rodzaju złożenia a co najmniej bardzo przykrem upokorzeniem.

To też oburzenie patryotyczne, gniewy miłości własnej i, być może, interesu, zwróciły się z wściekłością przeciwko Szkole Antyocheńskiej, która zresztą tylko zastosowywała w praktyce ogłoszoną przez Najwyższego Kapłana prawdę wiary. Gorliwcy biegli do stolicy syryjskiej, by przeciwdziałać propagandzie niepokojnych duchów i przekonać nowonawróconych, że dla nich niemasz zbawienia, dopóki ze chrztem nie połączą praktyk Prawa, ale wysłańcy synagogi napotkali w Antyochii siłę, o której istnieniu nie myśleli wcale. Z całą swą mocą powstał Św. Paweł, ten największy geniusz rodzącego się chrześcijaństwa! Wysłany do Jeruzalem przez gminę antyocheńską, by się porozumiał z apostołami, Św. Paweł udał się do Miasta Św. z Barnabą. I wtedy odbyło się owo

uroczyste zebranie apostołów i uczniów, które historycy nazwali koncylium Jerozolimskim. Rozstrząsano na niem ową sprawę życia lub śmierci i, jak się można było spodziewać, rozwiązano ją w duchu wskazanym przez Opatrzność w widzeniu w Joppie. Piotr przemawiał z mocą i szlachetnością, ukazując się wszystkim jako nieomylny przodownik Kościoła Bożego. Trzymając stronę Apostoła narodów, brał pod swą wysoką opiekę Ofiarę fanatyków, głosił jego ortodoksyę w obliczu całego Kościoła i zawarł z nim tę jedność braterską, którą wieki uświęciły połączeniem obu w chwale, jakoby „domowych bogów“ nowego Rzymu. Nie mniej decydującem było i to, że św. Jakób sprawiedliwy, najprawowierniejszy i najpobożniejszy z Żydów, ten, na którego powoływali się wszyscy wstecznicy, mówił tak samo jako i Piotr, oraz otaczał powagą swego niebywałego uroku tak znienawidzone nowości. W następstwie tych obrad, pierwsze koncylium otworzyło na oścież bramy Kościoła narodom, oświadczając wzniósł: „Zdało się Duchowi św. i nam, abyśmy więcej nie kładli na was ciężaru oprócz tych koniecznych“ (Dz. Ap. 15: 28).

Koncylium Jerozolimskie zbawiło chrystyanizm, poświęcając Izraela na ofiarę. Postanawiając, że Kościół ma być katolickim, to znaczy międzynarodowym, zniszczyło do szczytu nacjonalistyczne żądania pewnej grupy Żydów. Już się nazawsze trzeba było pożegnać z tem

wiekuistem marzeniem, które widzącym ukazywało synów Izraela, jako siedzących na stoniach tronu, z którego wysokości Mojżesz rządził narodom ziemi. Niejeden Żyd-chrześcijaнин musiał być sobie powiedzieć, że Bóg nie dotrzymał danych Abrahamowi i Jakóbowi obietnic, że odrzucił naród, z którym był zawarł wieczne przymierze, że sromotą okrył córkę Syonu. Tak, bo prorocy przepowiadali Izraela duchowego, Syon symboliczny! Obcy zajęli na uczcie miejsce synów, z przybyszów Bóg uczynił dzieci Abrahamowe, a Pismo św. odsłoniło narzeczcie swe tajemnice. Jak ongi z pośród Hebrajczyków w niewoli babilońskiej, wielu, siedząc wylewało gorzkie łzy na wspomnienie opuszczonego Syonu. Super flumina Babylonis illic sedimus et flevimus, dum recordaremur Sion. Szanujemy tę boleść patryotyczną, nad którą niemasz nic szlachetniejszego. Ale zapomnieć nam nie wolno, że sprawa Kościoła była ważniejszą od Żydowskiej, że dobro ludzkości idzie przed dobrem ojczyzny!

Wśród chrześcijan Żydowskich byli tacy, co się nie chcieli poddać. Po koncylium w Jerozolimie nie zaprzestali rozpacznej opozycji przeciw nauczaniu Kościoła, przeciw określeniom, które ogłosił co do apostołowania wśród niewiernych, a uczepili się z uporem starych przesądów narodowych, utożsamianych z prawowiernością. Po krótkim czasie była to tylko maleńka garstka wsteczników, idących po dro-

dze herezyi. W chwili nieszczęścia, które w kilka lat nawiedziło Jerozolimę, ich opozycja zginęła w morzu krwi. Ale jednocześnie to nieszczęście było decydującem objawieniem dla Żydów chrześcijan, potwierdzeniem objawienia w Joppie. Dla wszystkich stało się oczywistem, że Izrael już nie jest ludem Bożym, ale ludem odrzucenia. Odtąd historia już się nim nie zajmuje.

Co się zaś tyczy Kościoła, to odłączył on śmiało swą sprawę od smutnego przeznaczenia jednego narodu. Nie przyjął na się nikłych skutków zmienności dziejowych, bo nie chciał przez to zdradzić swej powszechnej misyi. Łódź Piotrowa zerwała linę, co ją trzymała przy brzegu, zdobywszy przez to przestworne morze, gdzie ją wprawdzie burze czekały, ale też i cudowne połowy.

Taki był pierwszy zwrot w dziejach nowoczesnego świata.

WYKŁAD II.

Kościół i Barbarzyńcy.

Odtąd już nic nie stanie Kościołowi na przeszkodzie, by się stał religią cesarstwa Rzymskiego, tj. wszystkich narodów, skupionych pod cieniem cywilizacji rzymskiej. Mówię nic, bo czemże wszystkie inne niebezpieczeństwa, które jeszcze czekały Kościół, wobec tamtego, które zagrażało jego życiu w samym początku? Czem nawet są te trzy wieki krwawych prześladowań, co otwarły jego roczniki? Pod ręką kata przelewał wprawdzie Kościół bez ustanku potoki krwi, ale ta krew wedle wyrażenia pewnego apologety była ziarnem niebywalej płodności. Po trzech wiekach prześladowań i tępienia, państwo Rzymskie musiało broń złożyć i uznać się zwyciężonem przez swą ofiarę. Edyktem medyolańskim z 312 r. cesarz Konstantyn Wielki obwieścił, że każdy może czcić Boga, jak chce. W tem zawierało się domyślnie przyznanie chrześcijaństwu prawa do życia. I otóż to jest

chlubnym przywilejem Kościoła, że dla zdobycia świata nie potrzebuje nic więcej nad prawo ogólne. Skoro bowiem oddano sumieniom wolność, cały świat Rzymski wszedł do Komunii Wiernych tak, że jeszcze czwarty wiek nie minął a już poganie widzieli się w rozbitej mniejszości. Chrześcijaństwo stało się wyznaniem cesarzów, religią prowincyi i sięgało tak daleko, jak granice państwa. Rozsiadły się społeczności chrześcijańskie zarówno nad brzegami Renu i Dunaju, jak Eufratu i Nilu, dosięgały Kolchidy, jako i wyspy bretańskiej. Wystarczało religię nazwać Rzymską, aby wiedziano, że mowa o chrześcijaństwie.

Tak więc wzgardzona sekta Galilejczyków posiadała tron Cezarów, a jej przyszłość złączoną została z przeznaczeniem wiecznej cywilizacji rzymskiej. Bo zdawało się, że potężny ustrój społeczeństwa rzymskiego był stworzon na trwanie bez końca. Wierzyli w to wszyscy. Żaden dogmat patryotyczny nie miał nigdy tylu entuzjastycznych i szczerych wyznawców, jak ten, który streszczał credo wszystkich obywateli rzymskich w tych dumnych słowach: wiecznotrwałość Cesarstwa! Formułę tę ciągle spotykamy w wierszach poetów, w modlitwach wiernych, w panegirykach mówców, nawet w tekście praw. Roma w języku swych pogańskich czcicieli zwała się Miastem Wiecznem, a chrześcijaństwo, zapożyczając to określenie z prawa cywilnego,

nie chciało, przynajmniej w początkach, zmieniać jego tradycyjnego znaczenia.

Chrześcijanie bowiem zupełnie szczerze przyjęli ogólną wiarę w wiecznotrwałość cywilizacji rzymskiej. Bez wględu na to, co o nich myśleli prześladowcy; (a nie byli oni gorszymi patryotami od pogan, acz nimi byli w inny sposób), ich wiara nie zawierała nic takiego, co by się mogło sprzeciwiać przekonaniom obywatela. Co więcej, pewne ustępy Pisma św. zdawały się przedziwnie te przekonania popierać. Wszak czyż tem czwartem i ostatniem, przepowiedzianem przez Daniela i, by wyrazić jego wiecznotrwanie, porównanem do żelaza, królestwem, nie jest cesarstwo Rzymskie? Przeto, przekonanie o wieczności Cesarstwa stanowiło do pewnego stopnia część ich wiary samej. To też pierwsi apologety powoływali się na nie, jako na niemożliwy do zbicia dowód ich patryotyzmu. „Jakoż, mówi jeden z nich, mogliśmy pragnąć upadku Cesarstwa? Wszak pragnąc tego, pragnęlibyśmy końca świata“.

Lecz cóż to za ciemne chmury, co, zwolna gromadząc się na horyzoncie, naruszają pokój świata i zwiastują jutrzejsze katastrofy? To barbarzyńcy. Obcy dla chrześcijaństwa i cywilizacji, wylączeni od *felicitas romana*, krążą jako wilcy wokół radosnego terytorium Cesarstwa. Rzym, który ich chciał opanować, zrozumiał wreszcie, że skończyła się dlań epoka nowych zdobyczy i że tych barbarzyńców nie po-

kona nigdy bronią. Boć działo się przeciwnie: oni tylko dostarczali jeszcze żołnierza i z pośród nich Rzym najchętniej rekrutował obrońcę. Germania tem była dla starożytności, czem Szwajcarya dla nowożytnej Europy — ziemią landknechtów. Co roku, przechodząc przez Ren, lub Alpy, tłumy wojaków tego kraju wynajmowały wodzom rzymskim siłę swych muskularnych ramion. Chciwi słońca, bogactw, rozkoszy szukali szczęścia, a czasami znajdowali koronę. Historia wspomina o kilku z pośród tych awanturników, zwłaszcza o Maksymie Kolosie, który całemi godzinami biegał za wozem Septyma Sewera, a potem zajął miejsce Aleksandra, pierwaj go zabiwszy. Pewnego dnia jeden pustelnik, który w piątym wieku był opatrnością dla Noryka, dzisiejszej Bawaryi, ujrzał u progu swego szalasu podróżnika, barbarzyńcę — olbrzymia, co schylać się musiał, by próg przestąpić. Był to stary wojak, który, idąc do Włoch, by sprzedać swe usługi Cesarstwu, chciał po drodze uczcić świętego starca i który po kilku latach został królem Italii. Zwano go Odoakrem.

Jak się zachowywało Cesarstwo wobec tych ludzi, których pod swą moc zagarnąć nie mogło a których potrzebowało codziennie? Powiedziało sobie, że trzeba ich przywiązać do swej sprawy nie zapłatą za przelewana dla siebie krew, ale stopniową asymilacją, dokonywaną z jednej strony przez wyrabianie ich na praw-

dziwych Rzymian, z drugiej przez wprowadzenie ich do Kościoła, by zostali chrześcijanami. Zdawało się to rzeczą stosunkowo łatwą. Cywilizacja rzymska nie była bowiem światem zazdrośnie strzeżonym: stała otworem dla barbarzyńców, którzyby jej służyć chcieli, i miała sama w sobie dość powabu, by niejako zmusić do zamiany barbarzyństwa na życie romańskie. W ten sposób, na mocy pewnej niemej umowy, dokonywało się wsiąkanie świata germańskiego w rzymski: germański brał powoli w posiadanie świat rzymski, ale ten go asymilował. Był to pokojowy tryumf cywilizacji, wyższy od tych wszystkich, które zdobyła orężem. Bo widzieć jak Stylikon lub Aetius w jej imieniu odnoszą zwycięstwo; skłonić zwycięskiego Atalfa do pokornego wyznania wielkości Rzymu, lub widzieć, jak Teodoryk Wielki prowadzi dalej dzieło cesarów, czyż to wszystko nie jest wspianiem potwierdzeniem wiecznotrwałości cywilizacji romańskiej?

W ten sposób Cesarstwo zajęło wobec barbarzyńców takie samo stanowisko, jak Żydzi wobec pogan. Na podobieństwo Izraela, Roma nie pojmowała inaczej wzajemności narodów, jak w formie rzymskiej, z Rzymem na czele. Pozwólcie, że przedstawię inne porównanie celem nadania większej zrozumiałości mej myśli. Dzisiejszy europejczyk nie jest zdolny wyobrazić sobie zaguby naszej cywilizacji. On nie rozumie tego, iż pewnego dnia hordy azyatów lub

bandy anarchistów zniszczyć ją mogą doszczętnie, niesprawiając tem samem spustoszenia. Gdyż jego zdaniem takie wydarzenie byłoby grobem życia społecznego, powrotem rodzaju ludzkiego do mroków pierwotnego barbarzyństwa. Otóż podobnie myślał Rzymianin z czwartego wieku, jeno dla niego cywilizacją nowożytną było cesarstwo romańskie.

Tak więc poraz wtóry Kościół odczuł, że jego przeznaczenie jest związane z losem instytucji ludzkiej. Jak ongi Żydzi, nawróceni na chrześcijaństwo, utożsamiali przyszłość chrześcijaństwa z przyszłością swego ludu, tak obecnie utożsamiali ją chrześcijanie rzymscy z przyszłością Cesarstwa. Boć rzeczywiście, Cesarstwo to cywilizacja, to felicitas, to urzeczywistniony cel społeczny. Jego przywódcę zwano uroczyście księciem rodzaju ludzkiego. Zdawało się, że Kościół chrześcijański jest połączony nierozzerwalnie z całą ludzkością przez to samo, iż pozostaje w związku z Romą; że osiągnął już zatem swój ideał, że nie ma już czego żądać od przyszłości i że ambicyą jego powinno być zachowanie obecnego stanu.

Skoro Rzymianie tak patrzeli na rzeczy, wyobraźcie sobie, jeśli to możebne, czego doznawali w miarę tego, jak wypadki, nie urzeczywistniając bynajmniej ich marzeń, zdawały się przygotowywać zniszczenie Cesarstwa przez barbarzyńców. Widzieli oni, jak codzień wzrastała liczba żołdaków, stających się biczem bożym.

Olbrzymi, muskularnie rozwinięci, brudni, o włosach ryżych, z brodą w nieładzie, obuci w gałgany, cuchnący, co więcej gburowaci, ignoranci, mówiący chrapowatym i niezrozumiałym żargonem, żołdacy ci rozszerzali się wszędzie, prowincye uważali jako swe dobro, nie troszczyli się wcale o życie rzymskie i brali z niego jedynie rozkosze, pozostając po zatem sami sobą i nie myśląc wcale o zmianie swego sposobu życia. Przyszedł nawet dzień taki, dzień sromoty i żaloby, jakiego świat dotąd nie widział: te dzikie hordy posiadły Wieczne Miasto. Bezprzykładnie świętokradzko znieważono sanktuarium cywilizacji, dając jednocześnie przedobraz końca wszechrzeczy.

Boć koniec cywilizacji rzymskiej to koniec świata. Gdy ginie to wszystko, co nadawało piękność życiu: przepych, bogactwo, dobrobyt, publiczne zabawy, literatura, sztuki i obyczaje społeczne wyrafinowane; gdy taki świat błyskotliwy, układny, przepelniony radością życia, zalewa potop barbarzyństwa—czyż to nie jest śmiercią rodzaju ludzkiego? Tak wszyscy czuli i mówili. Boć w tamtoczesnym świecie absurdemby było i pojęciem całkiem niezrozumiałem przypuszczenie, choćby na moment, że rodzaj ludzki może się obejść bez cywilizacji rzymskiej i że przyszłość rodzaju ludzkiego nie jest nierozzerwalnie z nią związana.

To też gdy wypadki zbyt wyraźnie świadczyły o upadku tej cywilizacji, prawdziwym

Rzymianom nie pozostawało nic innego, jak umrzeć. Jedni chcieli zejść ze świata, wchłonawszy w siebie po raz ostatni rozkosze cywilizacji, ubrani w róże, odurzeni winem; inni, owinięci faldami starego sztandaru Romy, czekali w stoickiej rozpacz na ostatnie uderzenie, jak ongi senatorowie oczekiwali, siedząc na krzesłach kurulnych, nadejścia zwycięskich Gallów. Jedni i drudzy, niezdolni do zrozumienia innego ideału, umierali ze swym ideałem, patrząc na zachód swego nieba i swoich bogów. Niemasz nad ten tragiczniejszy ból, bo dosięga ludzkość w tem, co światu najdroższe i największe! Wszystko może zawieść, byleby ideal został nietknięty, lecz, jeśli ideal kłamie, to nietylko łamie się serce, ale duch się wiję, rozum z bluźnierstwem rzuca się w przepaść!

W podobnych wydarzeniach zwyciężony odpowiada na wyrok przeznaczenia wzmożonym patryotyzmem. Tak postąpili przede wszystkim Rzymianie z Bretanii. Siedząc na krańcach cywilizowanego świata, opuszczeni przez Rzym, patrzeli z boleścią na to, jak się stopniowo rozszerza najście anglosaksońskie, czuli, jak muszą z dnia na dzień ustępować na zachód, jak ci barbarzyńcy niszczą cywilizację tam, gdzie się zagnieźdźdźli, oraz jak ją gaszą w reszcie kraju. Ci Bretonowie, zasklepiwszy się w zachłannym patryotyzmie, nie pojęli wcale biegu rzeczy, na jedno się tylko zdobyć potrafili—na protest. Choć byli chrześcijanami, nie chcieli wcale, by zwycięzcy byli dopuszczeni

do korzystania z dobrodziejstw Ewangelii: ich kapłani wzbraniali się udzielać przybyszom światła wiary, albowiem uznać nie chcieli, że można być jednocześnie chrześcijaninem i anglosaksonem, jak niegdyś Żydzi nie chcieli, by ktokolwiek był chrześcijaninem, i nie był obrzezany. Nie myśleli o tem, że sami się zbawią, nawrócwszy zwycięzców. Przeciwnie, woleli zginąć z nienawiścią ku nim, aniżeli żyć, pogodziwszy się z nimi. To wiekuisty objaw fanatyzmu: Raczej Turkiem, niż papistą! Współcześni Ormianie wiedzą dobrze, co ten okrzyk znaczy.

Jeśli Kościół katolicki nie był lepiej zrozumiał swej roli, aniżeli kler bretoński, jeśli się nie był wznosił ponad uczucia ślepego patriotyzmu, jużby było po chrześcijaństwie: byłoby się ono zapadło w przepaść, gdzie pogrzebano Cesarstwo rzymskie. Ale Kościół patrzył dalej a spokojniejszego był ducha; nie zwątpił o ludzkości, nie sądził, że wszystko stracone, gdy Roma ginie. Przeciwnie, obejmował okiem całość tych olbrzymich poczynań, których był świadkiem, i pojął proroczo, że z nich wylania się nowy, nieznany jeszcze świat — przeczuł tę cudną nowość, której nie umiano inaczej nazwać jak dziwnym połączeniem wyrazów. Nazwano ją cywilizacją barbarzyńską, tj. cywilizacją, która się może obejść bez Romy, ale która powinna iść dalej, niż Roma. I bez bojaźni, ze świadomością swej wiecznej misji Kościół poszedł do tych, co byli bohaterami przegna-

czenia, a podawszy im ręce, ujął kierownictwo przyszłości.

Wyłożyłem gdzieindziej powstanie tego ruchu, który musiał unieść Kościół w takim kierunku. Wiąże się on z imieniem największego doktora Kościoła łacińskiego, św. Augustyna¹⁾. Niech tutaj wystarczy, gdy powiem, że ruch ten poczęty w myśli genialnego człowieka, podjęty i rozwijany przez uczniów, znalazł, od końca V w. począwszy, gorliwych wyznawców, którzy z porządku umysłowego przenieśli go do porządku historycznych bytów. Był to z jednej strony episkopat galijski, reprezentowany przez takich ludzi, jak św. Remigiusz z Reims i św. Avitus z Vienne, którzy, uznając szczerze panowanie barbarzyńców, żądali od nich tylko tego, by byli chrześcijanami, i którzy sami wyrzekli się odważnie chimerycznego marzenia co do kontynuowania cywilizacji rzymskiej; z drugiej strony papieżstwo, w osobie największego męża szóstego wieku, św. Grzegorza Wielkiego, samo daje inicjatywę nawrócenia anglosaksonów i w ten sposób z wysokości Lateranu spełnia obowiązek, którym wzgardził kościół celtycki w Bretanii. Kościół otwiera wszędzie, bez żadnych zastrzeżeń lub warunków, bramy swych świątyń i drogi zbawienia dla nowych narodów. Tem się tłumaczy niebywale powodzenie, które miał Kościół

¹⁾ Wstęp do *Clovis* wyd. 2, I, XXV.

w szóstym wieku u wszystkich narodów barbarzyńskich, zarówno u pogan jak i aryów. Z chwilą, gdy się przekonano, że można nosić słodkie jarzmo Chrystusowe, nie będąc jednocześnie zmuszonym do dźwigania ciężkiego jarzma rzymskiego, znikła nieufność względem wiary katolickiej a naturalna wyższość tej wiary nad wszelką herezyą lub pogaństwem nie znalazła przeszkody żadnej w swem oddziaływaniu. Cały świat barbarzyński radośnie wszedł do Kościoła. Narody nawróciły się razem. W ciągu trzech wieków wszystkie narody germańskie były zdobyte dla katolicyzmu. Na nawrócenie Cesarstwa mimo nadzwyczajnej wyższości apostołstwa potrzeba było więcej czasu.

Tak się przedstawia rozwiązanie drugiego zwrotu w dziejach i takie ma znaczenie chrzest Klodoweusza, który zapoczątkował ten nowy okres w historii chrześcijaństwa. Porównywano często chrzest Klodoweuszowy z Konstantynowym, jabym raczej go uznał za wspaniały pendant chrztu setnika Korneliusza. Tam Kościół, odłączając swą sprawę od sprawy ludu Izraelowego, poszedł do Narodów i przyjął je do uczestnictwa wiernych bez wkładania na nich prawa żydowskiego. Tutaj, oddzielając swoje przeznaczenie od losów Cesarstwa, idzie do barbarzyńców, daje im do rąk berło świata i nie wymaga, by nosili strój cywilizacji rzymskiej. Dwakroć kierowano się jedną i tą samą strategią wyższego porządku. Dwakroć chrześcijaństwo, będące

dziedzictwem ludzkości, nie dało się usidlić stroniczości, zawładnąć przez odłamy społeczne. Miałoby plakać na grobach upadłych cywilizacji, zajęło się zdobyciem dla Chrystusa nowopowstających społeczeństw. W ten sposób, jasno i wyraźnie, na całe wieki przyszłości oświadczyło, że nie może siebie nierozzerwalnie łączyć z losami tych rzeczy przejściowych, co się zowią dynastją, narodem, klasą społeczną, cywilizacją, albowiem jego przeznaczeniem jest szerzenie Królestwa Bożego na ziemi. Zostawszy za tę cenę religią powszechną, za tę tylko cenę utrzyma takowy charakter i będzie sprawdzać podniosły tytuł, który Izajasz nadał Mesyaszowi, nazwawszy go „Ojcem przyszłego wieku“.

WYKŁAD III.

Kościół i feudalizm.

Pozostawiwszy umarłym grzebanie umarłych, a własnej doli walący się gmach nadpróchniałej cywilizacji, Kościół poszedł, jakeśmy widzieli, do barbarzyńców i im powierzył swe losy. Trwając wśród nich i z ich grona wybierając sobie takich współpracowników, jak św. Bonifacy, Karol Wielki, Alfred Wielki, Kościół wziął się do pracy zaraz od pierwszej chwili i zaprawiał się w budowie nowego świata.

Było to dzieło ogromne, podjęte na wieki całe pracy, dzieło dostarczające wszelkim duszom wrażliwym wielkich pouczeń. Nie tu miejsce dla przedstawienia go choćby w najgrubszych rysach. Podjąłem się tej pracy gdzieindziej.¹⁾ Tutaj raczej pragnę tylko wykazać, że Kościołowi w tej pracy budowania zagroziło

¹⁾ Ob. moje *Origines de la civilisation moderne*, 5 wyd.

niebezpieczeństwo, iż sam może stać się zdobyczą barbarzyństwa, które chciał opanować, a nadto przypomnieć, w jaki sposób Kościół zdołał wyjść zwycięsko z tej przeprawy.

Trzeba sobie najpierw przypomnieć, czem były w zaraniu średniowiecza te nowe narody, które schylały czoło przed wodą Chrztu św. Z małymi wyjątkami natur wybranych, stały one tylko na progu chrześcijaństwa i, choć ochrzczone, nie były cywilizowane. Kochały szczerze religię chrześcijańską, ale ta miłość była często grubijąnska i interesowna. Ich zdaniem uczeń Chrystusa miał dwa sposoby świadczenia swej wiary: zwycięsko walczyć z nieprzyjacielem i czynić wielkie ofary dla biednych. Ich wiarą — jak zresztą i naszą — było przeświadczenie, że jałmużna pokrywa wielość grzechów, a ponieważ mieli wiele grzechów do odpuszczenia, więc byli bardzo hojni względem Kościoła. Wiara to nader zasługująca. Kościół był matką i karmicielką ubogich. Dać Kościołowi, to nie tylko było dopomódz do utrzymania kultu i duchowieństwa, ale nadto zapewnić budżet dobroczynności i publicznego oświecenia, o czem tylko Kościół miał pieczę. Oto przyczyna, dlaczego ludzie tamtocześni kochali się w z bogacaniu instytucji religijnych i tworzeniu nowych „dla zbawienia duszy — tak się wyrażali w aktach donacyjnych — i dla odpuszczenia grzechów“. Nie było klasztoru ani kościoła katedralnego czy kolegialnego, któryby nie otrzy-

mywał danin i nie stawał się wkrótce wielkim właścicielem ziemskim i któryby przeto nie posiadał tego wpływu i znaczenia społecznego, jakie ongi dawała wielka własność. Niejedna z tych instytucji doszła do prawdziwej potęgi, zwłaszcza od chwili, gdy królowie, przewyższając wielmożów w hojnościach, podzielili się z Kościołem swą władzą, oddając mu na lenno całe hrabstwa wraz z prawami politycznymi i cywilnymi, czyniąc z prałatów książęta, pierwsze osoby w państwie. Europa została pokryta kościelnymi księstwami, prawdziwymi podporami tronów, które je stworzyły.

Lecz tyle bogactwa i tyle blasku nietylko nie było prawdziwą siłą dla Kościoła, ale przeciwnie stało się dla niego wielkiem niebezpieczeństwem. Nie mówię tutaj o zwyczajnych gwałtach, dokonywanych przez zdzierców, bo to było oczywiście naruszeniem prawa i porządku publicznego. Chodzi o zło powszechniejsze i głębsze. Oplywający w bogactwa i jednocześnie pozbawiony oręża, obowiązany do złożenia w ręce świeckie miecza, które Państwo w jego włożyło; z drugiej strony wystawiony wskutek braku dziedziczności dynastycznej na wszelkiego rodzaju zatargi po śmierci każdego dygnitarza, Kościół stał się z czasem igraszką ambitnych i zdobywcy chciwych rywalów. Ci nawet, co w chwilach skupienia i pokuty okazywali się dla niego bardzo hojnymi, rozporządzali bez skrępowania jego godnościami,

tłumacząc sobie, że te daniny dawały im prawo opieki i protektoratu. Wszyscy wielcy czyhali na śmierć biskupa lub opata, żeby rywalizować o otwierające się dziedzictwo. Mając dzieci i nie chcąc ich obdarzać ze swego dziedzictwa, by nie zmniejszyć bogactwa pierworodnych, uważali za stosowne oddać je na utrzymanie Kościoła, czyniąc z nich biskupów lub opatów. Hierarchia kościelna była do pewnego stopnia upustem dla licznych rodzin, instytucją dla utrzymania dzieci z dobrych domów.

Z drugiej strony królom zależało na tem, aby obsadzić godności kościelne ludźmi pewnymi i wiernymi. Znaczenie polityczne, które posiadały dyecezye i klasztory średniowieczne, było zbyt wielkie, aby panujący mogli patrzeć obojętnie na to, z kogo się składa hierarchia. Zresztą tak bogate prebendy były w ich rękach znakomitym środkiem rządzenia, którym się posilkowali, by jednych nagradzać za wierność, innych pobudzić do gorliwości. Przeto nie zaniedbali wziąć w swe ręce potrosze wszędzie, aczkolwiek wbrew kanonom kościelnym, obsadzania głównych godności kościelnych w swem państwie. Królowie niemieccy czynili więcej: na początku dziesiątego wieku przywłaszczyli sobie wpływ na nominowanie najwyższych pasterzy. Tak więc w przeciągu lat niemal stu (965—1048) żaden papież nie mógł osiąść na stolicy Piotrowej, jeśli nie był wskazany przez nich lub co najmniej akceptowany.

Przyjrzyjmy się bliżej temu reżymowi. Z chwilą, gdy jakiś biskup umarł, kapituła zaraz zabiera oznaki jego godności biskupiej: pierścień, symbol związku biskupa z dyecezą, oraz pastorał, oznakę autorytetu nad wiernymi, i odsyła... królowi. Lecz jakkolwiek prędko wysłannicy chcieli spełnić to, co im powierzono, zawsze uprzedzą ich inni podróżnicy, którym się bardziej śpieszy, tj. ambitni marzący o zajęciu wakującej stolicy, ci, co spieszą poprzeć swą sprawę na dworze królewskim. To *steepie chasse* kandydatów na biskupstwa. Ileż to tam intryg, któremiby chciano uwikłać króla w swe sieci, ileż próśb, obietnic, ileż podarków, ofiarowanych najwplywowszym kurtyzanom, jakież frymarczenie wpływami i wynajdywanie nadzwyczajnych środków, by dopiąć do celu! I to wszystko trwa aż do chwili, w której już wiadomo o wyborze, dokonanym przez monarchę. Szczęśliwy wybraniec dostaje wezwanie i podczas ceremonii o wybitnie feodalnych cechach otrzymuje z rąk króla pastorał i pierścień. W tem postępowaniu już nic niema kanonicznego ani kościelnego w ceremoniach. Inwestytura, tj. akt, przez który władza biskupia zostaje potwierdzona i ogłoszona, jest czynnością nawskroś świecką.

Zatrzymajcie w pamięci te słowa: inwestytura świecka, one się staną sławnymi w dziejach, bo będą niejako hasłem panującego ustroju państwowego. Jednocześnie

zapamiętajcie tę cechę, która odtąd charakteryzuje stosunki między Kościołem a Państwem. W sposób całkiem barbarzyński zdeptano wielką zasadę ewangeliczną o różnicy władz, zasadę, stanowiącą węgielny kamień nowoczesnej cywilizacji. Pomieszano razem rzeczy duchowne i świeckie. Już Bogu nie oddają tego, co się Jemu należy. Zdawałoby się, że Namiestnikiem Jezusa Chrystusa już nie jest papież, lecz cesarz. Kościół jest tylko surogatem Państwa. Feodalność go z bogaciła, ale i opanowała, wyzuła z charakteru powszechności a uczyniła instytucję kastową. Papież jest tylko kapelanem cesarskim. Biskupi są cesarskimi jałmużnikami. Hierarchia dostępna tylko dla synów wielkich rodzin, podobnie jak feodalność wojskowa. Kościół oparł się na potężnych swego wieku, z nimi dzieli bogactwo i władztwo, przeto się też zdaje, że jego losy nierozzerwalnie połączone z przyszłością feodalnego społeczeństwa. Można by powiedzieć, że jak naród izraelski, jak cesarstwo rzymskie, tak i feodalizm nietylko chciał Kościołem o władnąć, ale szczęśliwszy od nich, swego dokonał.

Było to położenie bezprzykładnej wagi dla samego Kościoła i dla wpływu, który ma wywierać na ludzkość. Z chwilą, gdy wybór prałatów nie zależał od surowych przepisów katolickiego prawa, lecz jedynie od woli królów, już nie kapłańskie cnoty prowadziły do godności biskupich. Najgorszem było to, że kandydatowi na-

leżało dowodnie okazać swą wierność dla dynastyi i polityki panującego lub być popartym przez dworaków. Dworacy zaś nie udzielali protekcji darmo, lecz ją sprzedawali. Przeto większość biskupów kupowała swą godność i, raz ją nabywszy, starała się potem powetować wydatek sprzedawaniem godności drugorzędnych. Ze swej strony niższe duchowieństwo sprzedawało sakramenta, by zaspokoić te wymagania. W ten sposób, od szczytu do dołu hierarchii wystawiono na sprzedaż łaskę Odkupienia. Świątynia Boga, z której Jezus wypędził sprzedających, stała się jaskinią zbójców, zdiereców.

A wszak ze wszystkich nadużyć Kościół najsurowiej potępiał to frymarczenie i przeciw niemu skierował najwięcej anatem. Chłostał je ze wstrętem, począwszy od kolebki swego istnienia, od dnia, gdy to Szymon Czarnoksiężnik ofiarował św. Piotrowi pieniądze celem otrzymania daru włożenia rąk i gdy zasłużył na te piorunujące słowa Apostoła; „Pieniądze twe niech z tobą będą na zginienie¹⁾“. Odtąd sprzedawanie rzeczy świętych nazwano symonią. Wszystkie pokolenia odnawiały potępienie tej świętokradzkiej praktyki.

Czyż trzeba mówić, że symoniackie duchowieństwo nie troszczyło się wcale o cnoty swego stanu. Wszedłszy do szeregów kapłań-

¹⁾ Dz. Ap. 8 20.

skich najczęściej po to, by zdobyć znośne utrzymanie, kler wesole pędził życie, żył zbytko-wnie, brał udział we wszystkich przyjemnościach świeckich, w uroczystościach, w zabawach, w polowaniu, nawet wojną się parał. Wielka liczba kapłanów nie wahała się okazać zbytniej miłości ku sakramentom, przyjmując dwa naraz, choć się one wzajemnie wykluczały: sakrament kapłaństwa i małżeństwa. I wcale się z tem nie kryli, żyjąc publicznie, jako ojcowie rodzin w otoczeniu żony i dzieci. Celibat uważali za zwyczaj przestarzały. Oczywiście nie potrzebują przypominać, że w oczach Kościoła te rzekome małżeństwa, zakazane przez kanony, były tylko wstrętnymi konkubinacjami.

Sami pojąć możecie, jaki wpływ mogło mieć na ludzkość duchowieństwo tak nisko upadłe, na ludzkość, którą miało nauczyć i wychować. Najpotężniejsze nauczanie to przykład, a przykład właśnie pouczał, jak rzucić pod stopy, cynicznie czy nieświadomie, najwyraźniejsze przepisy religii, której się było ministrem! Nam, co, dzięki Bogu, żyjemy w czasach, kiedy duchowieństwo szczytną godnością życia daje świadectwo o prawdzie swej nauki, trudno sobie wyobrazić smutne położenie tamtoczesnych wier-nych, którzy widzieli, że kapłaństwo zostało opanowane przez cudzołóżników i frymarczarzy sakramentów. Jakież mogły być uczucia słuchaczy, gdy zbytek i rozpusta zasiadły w przybytkach i przemawiały z wysokości kazalnicy? „Wy

jesteście solą ziemi, powiedział Jezus Chrystus do swych pierwszych kapłanów: „jeśli wy upadniecie, kto się utrzyma?“ Te słowa sprawdziły się, niestety, na tamoczesnym społeczeństwie. Postęp społeczny zatrzymał się. Świat chrześcijański cofnął się wstecz. Wśród wiernych, jedni, barbarzyńcy do szpiku i kości, ze spokojem naśladowali pasterzy, nurzając się w kałuży wszelkich występów; inni, najbardziej logiczni, odwrócili się ze wstrętem od religii, reprezentowanej przez takie sługi. Jedni i drudzy byli już, jeśli tak rzec można, dojrzałi do rewolucji religijnej, któraby ich wyrwała z pod wpływu chrześcijaństwa. Herezya mogła z ufnością pukać do ich drzwi, była pewna dobrego przyjęcia.

W rzeczy samej od początków jedenastego wieku herezye powstają wszędzie! A takie straszne! Z nauką zgubną, ponurą, straszną, jak grzech, smutną jak śmierć! Ciemna noc, która zstępuje z ciężarem ołowiu i zimnem lodu do umysłów i serc! Rak śmierci, który gryzie wszystkie świetlane i wzniosłe dziedziny duszy ludzkiej! Śmiertelne waryactwo, które niszczy radość życia, które czyni z doczesnego istnienia jakby zły sen! To herezya albingensów. Nie porównać jej do żadnej innej: wszystkie inne zostawały nietkniętym św. sztandar ufności, wiarę w Chrystusa Odkupiciela, zatrzymywały w duszach tę wzniosłą i męską pewność, że życie warto trudu i że walka między dobrem a złem zakończy się ostatecznie tak, jak tego żąda su-

mienie ludzkie. Wedle zaś herezyi albingensów nie masz nigdzie pewnego zbawienia: ani w Kościele, bo zasługuje on na wszelką pogardę; ani w Zbawicielu, ponieważ On sam podlegał prawu grzechowemu, ani w Bogu, gdyż nie jest wszechmocny, jako że jest zwalczany przez równy Jego mocy pierwiastek zły. Na miejsce tej harmonii, którą wiara chrześcijańska ukazywała, a którą Bóg urzeczywistnił dzięki swej boskiej mądrości, utrzymującej wszystkie stworzenia w równowadze i hierarchii, widzimy tylko walkę wściekłą i straszną dobra i zła, walkę o panowanie nad światem, gdzie tragiczną stawką jest nasza dusza.

Wedle albingensów wiara chrześcijańska stała się czczą. Dzieło Odkupienia jest tylko wabiem. Zło jest pierwiastkiem wiecznym, w potęgze równym dobru. Świat stworzony, ze wszystkim, co ma najwspanialszego, jest dziełem złego ducha. To, że człowiek się składa z duszy, która jest dziełem Boga dobrego, i z ciała, które jest dziełem Boga złego, człowieka samego jest winą: dał się uwieść Bogu złemu i zamieszkał w ciele, jako w więzieniu. Jedyną dlań nadzieją zbawienia jest wyjście z tego ciała za wszelką cenę. Stąd samobójstwo jest czynnością religijną, bo oswobadza duszę, a małżeństwo — godne potępienia, bo wskutek nieukończonych reprodukcji przeciąga na całą wieczność niewolę zamkniętych w ciele dusz. Był to przebłysk tej zmory pewnej filozofii nowo-

czesnej, podającej samobójstwo zbiorowe jako jedyny środek wybawienia.

Tak się przedstawia w ogólnych zarysach ta ponura nauka, podcinająca źródła nadprzyrodzonego życia ludzkości i spychająca ją ponownie do ciemności okrutnych, z których ją Chrystus był powołał do światła Odkupienia. Jakże musieli być opuszczeni ludzie tej epoki, i wybycy z ideału chrześcijańskiego, jeśli rozpaczni tak licznie rzucili się w ramiona podobnej religii! A rozszerzała się ona z dniem każdym. Podobna do jednego z tych biczów bożych, co przychodziły ongi z Azyi, posuwa się powoli naprzód, tak że można śledzić stopniowy postęp jej śmiercionośnego pochodzenia, kolejno pokrywającego czarną plamą wszystkie kraje.

Naukę tę historycy zowią herezyą albingensów, bo w pewnej chwili jej główne siły skupiały się na południu Francji. Ale to nikt nie powinno w błąd wprowadzać: jest ona wszędzie. Jej najstarsze objawy spotykamy w Arras, w Liège, w środkowej Francji, w Châlons i w Orleanie. Ukryta często pod najniewinniejszą postacią, tak iż na pierwszy rzut oka trudno ją wyróżnić w takiej lub innej sekcji, jak np. w nieszkodliwej napozór sekcji waldensów, opanowująca ona stopniowo i niejako z konieczności wszystkie te środowiska, gdzie wskutek porzucenia wiary katolickiej była próżnia. W jej cieniu żyły całe tłumy ludzi, nie myśląc ani o tem, że wyznawane przez nich chrześcijaństwo, zmie-

nione, jest tylko odłamem manicheizmu. Wszystkie herezye tego czasu są jakoby bocznymi kanałami, które żywe wody wyzyskiwanych przez się środowisk sprowadzają do centralnego rynsztoku manichejskiego. Wprost lub pośrednio, wszystkie inne herezye są jej coś winne.

Tysiące się rozwija sekt niebywałych i gorszących, jako ten szkaradny robak, co toczy biedne ciało chorego społeczeństwa. Wśród zbalamuczonego społeczeństwa, które jednak odczuwało jeszcze potrzeby religijne, znajdują posłuch zupełnie zwaryowani herezyarchowie, najpodlejsi szarlatani. Dla przykładu wymieniam nędzne imię Tanchelina, który operował w Antwerpii. Sekciarze takim fanatycznym entuzjazmem otaczali jego osobę, że — proszę mi darować ten wstrętny szczegół — pili wodę, w której się mył. Pewnego dnia ogłosił, że będzie brał ślub z N. M. P. i że po obu stronach bramy domu, gdzie się będzie odbywała ceremonia, umieści dwie skarby. Chciał wiedzieć, którzy z wiernych, kobiet i mężczyzn, są mu najbardziej oddani, do wodom miała być ofiarność, która nie zawiodła: obie skarby zapelniono.

Wspomniałem, że nie zawsze łatwo wykazać ukryte pokrewieństwo, które łączy wszystkie czasowe sekty z herezyą główną. Natomiast we wszystkich można spotkać jedną wyraźną cechę wspólną: bezgraniczny wstręt do kleru. To nas napowrót sprowadza od tej, skądinał pouczającej, dygresji do początku, do

tego, na co wskazałem, jako na źródło niebywalego rozszerzenia się herezyi, tj. zepsucia duchowieństwa. Zgorszenia, dawane przez splamionych symonią i konkubinatem pasterzy, otworzyły bramy, któremi tłumy uciekały z Kościoła.

Po tem wszystkiem mogłoby się zdawać, że chrześcijaństwo i cywilizacja szły szybkim krokiem do bankructwa. Lecz Kościół katolicki ma moc ciąglego odradzania się. Niekiedy się zdaje, że źródła łaski i życia, co nań zstępowały z wysokości niebieskich, giną dla niego, płynąc gdzieś daleko, ale to złudzenie. W pewnej chwili ujrzycie je, jako wytryskują z łona Kościoła, bijąc tem wyżej w górę, im bardziej były zagrzebane, i jako spadają na niego powrotnie kaskadami dobroczynnymi i zapładniającymi. Tak też było w owe smutne czasy. Pod wpływem wylewu herezyi, niewyczerpana religijna życiowość Kościoła schroniła się i ześrodkowała się w sercach, gdzie osiągała większe napięcie i energię i gdzie przygotowywała się do tego, by, silna w sobie, mogła wejść do wszystkich arteryi i żył tego wielkiego cierpiącego ciała.

Tymczasem zanim to miało nastąpić, owa żywotność religijna kwitła w klasztorach. Wprawdzie klasztory nie były wolne od zepsucia, ale od początku 10 w. powstał w monasterach Lotaryngii i Burbonii żywy zwrot ku reformom. Powstali reformatorowie, marzący o przywróceniu mniszemu życiu całej idealnej doskonałości.

I to im się udało. W Gorze, w Brogne, a nade wszystko w Cluny powstały oddziaływające daleko środowiska reformy i odrodzenia zakonnego. Cluny, szczęśliwe tem, że w ciągu wielu wieków miało na swem czele wybitnych mężów, nadało swe imię temu ruchowi. Uczniowie i wielbiciele szkoły kluniackiej roznosili jej idee i reformy do wszystkich krajów zachodniej Europy. By jednak być sprawiedliwym, wspomnieć należy o wielkim udziale w dziele reformy takich ascetów italskich, jak św. Romuald, założyciel Kamedulów, św. Gwalbert, św. Nil, który pozyskał dla uroków zakonnego życia cesarza Ottona III i byłby go bez wątpienia skłonił do złożenia korony, gdyby śmierć przedwczesna nie była uwolniła młodego księcia od tego ciężkiego brzemienia.

Wszystkie te klasztory, świecąc jak gwiazdy na niebie, przechowywały i utrzymywały święty ogień chrześcijańskiego ducha, one na nowo tworzyły tę atmosferę, gdzieby się mogli schronić ci wszyscy, którzy zachowali kult ewangelicznego ideału i którzy nie wąpili o przyszłości. Szeregi walczącego Kościoła formowały się w cieniu klasztorów; ale kler świecki ze swej strony dawał nauczycieli i bojowników reformy. Takim był wielkoduszny Wazor bp w Liège, który pierwszy z niebywałą wyrazistością sformułował t. zw. zasady gregoryańskie, mogące się poprostu zwać katolickimi. Takim był jeszcze szlachetny Anzelm de Lucques, wzór wiel-

kiego biskupa, który, zostawszy papieżem, jako Aleksander II, był jednym z najbardziej zasłużonych poprzedników Grzegorza VII. Takimi byli i inni. Wszyscy oni mieli oczy zwrócone do Stolicy Piotrowej, wszyscy, wznosząc się ponad upadłym episkopatem, od papieża oczekiwali zbawienia świata. Byli to, że użyję zwrotu nowoczesnego, ultramontani w całej sile tego słowa.

Ci ludzie, rozsiani wszędzie, łączący z wzniosłymi i prawowiernymi zasadami urok nieposzlakowanego życia, zdobywali powoli powszechną sympatyę. Można powiedzieć, że tworzyli opinię w tych środowiskach, w których się zajmowano zagadnieniami religijnymi i społecznymi. Ich wpływ nie został zamknięty w szeregach kleru; przeciwnie, mieli zwolenników we wszystkich klasach społeczeństwa, nawet między książętami i koronowanymi głowami. Do nich należał np. potężny cesarz niemiecki Henryk III, nieubłagany przeciwnik symonii i nikolaityzmu. Nikt nie chłostał tych nadużyć z większą sprawnością, nikt ich nie zwalczał z większą siłą, niż on. Czuwał nad tem, by tylko ludzie bez zarzutu, zajmowali stolicę biskupią. Ci, których wprowadził na Stolicę Piotrową, mianowicie Klemens II i Damazy II, bezsprzecznie okazali się jej godnymi. Wydaje się to dziwne, bo ten władca, bardziej, niż ktokolwiek inny, broił wrzekomem prawa świeckiej inwestytury. Ale to można zrozumieć! Co innego jest bo-

wiem spostrzedz w ludzkim społeczeństwie zło, a co innego poznać jego przyczyny. Rzecz oczywista, że ludzie tamtocześni, biorący udział w sprawie, widzący tylko część faktów a często skłonni inaczej sądzić, niż my wskutek swego położenia lub interesu, nie mogli z równą nam łatwością uczynić tych spostrzeżeń, które my czynimy, w świetle czasu i historii i dzięki znajomości wszystkich faktów i szczegółów sprawy. Tutaj leży przyczyna, dlaczego byli dawniej i dlaczego są dzisiaj ludzie, których trapią nadużycia w społeczeństwie, ale którzyby odrzucili podany sobie sposób naprawy.

Jaki to był ów ratunek? Tylko co powiedziałem, że nie był nim prosty zakaz symonii i konkubinatu. Ponieważ oddawano stolicę biskupią przekupnikom i wszetecznikom, przeło ich błędy się zakorzeniły. Żeby zło naprawić, trzeba było nie dopuścić, by podobni ludzie mogli się dostać podejściem do trzody, by tam mogli wejść inaczej, niż drzwiami, jak mówiono. Dla tego zaś trzeba było przywrócić pierwotne znaczenie przepisom kanonicznym, odnoszącym się do wyboru kościelnych dygnitarzy, tj. wrócić Kościołowi wolność i uznawać różnicę między dwiema władzami przez odebranie królom inwestytury. Było to jasne i proste, ale właśnie prostota tego zamiaru czyniła go przestraszającym i niejako chimerycznym. Kwestyonować przywilej królewski, który sobie przywłaszczali najlepsi i najgorsi z panujących,

było to porwać się na najstraszniejszą wojnę, na wojnę, której jeszcze społeczeństwa chrześcijańskie nie знаły, na wojnę między Kościołem a Państwem. A nie była to wojna tylko z królami, lecz nadto z całą klasą feudalną, z tą klasą bogatą i potężną, która na swój sposób podtrzymywała Kościół, popierała go i bez której, zdawało się, będzie on skazany na bezwzględną niemoc. Wreszcie było to wywołać w łonie samej hierarchii wścieklą i rozpaczłą opozycję ze strony tych wszystkich prałatów, którzy zawdzięczali swą godność inwestyturze świeckiej a których tytuły posiadania były pośrednio zakwestyonowane rzuceniem anatemy na dotychczasowy sposób zajmowania stolicy. Takimi były przerażające przewidzenia, któreby powinny przestraszyć ducha reformatorów. Przeto niech się nikt nie dziwi, że wielu cofnęło się przed następstwami takich faktów.

Ale Kościół katolicki nie wahał się. Podjął dzieło, jeno z wielkim taktem, z wielką roztropnością i wyrozumieniem okoliczności w pierwszych krokach. Bezúżytecznem było głosić prawdziwe zasady i żądać ich zastosowania, boć je znano; co więcej było to niebezpieczne, bo je lekceważono. Kościół obrał lepszą drogę: powoli przyzwyczajał umysły do szanowania tych zasad, przez to, że je przypominał milcząco odpowiedniemi urządzeniami wydarzeń, gdy mógł, i że je wprowadzał wprawdzie bez hała-

su, ale z mocą nadzwyczajną. Niech nam przykład wyjaśni, jak postępowała reforma.

W r. 1048 Stolica Apostolska osierociała. Cesarz Henryk III wybrał na tego, kto na niej miał zasiąść, swego kuzyna Brunona, biskupa z Toul, znanego pod imieniem Leona IX. Należał on do grupy tych gorliwych chrześcijan, co marzyli o odrodzeniu Kościoła. Nie protestował wcale przeciw swemu wyborowi, nie powiedział w oczy kuzynowi, że nie ma prawa rozporządzać Stolicą Piotra i że on sam, biskup, nie może się uważać za papieża zanim nie będzie wybrany przez kler rzymski, wedle kanonów. Takie odezwanie się wszystkoby było popsulo. Zirytowany Henryk III byłby mianował innego papieża, któryby prawdopodobnie był delikatniejszym. Wielkie dzieło reformy nie miałoby miejsca. Natomiast Leon IX swoim postępowaniem wypowiedział łagodnie i spokojnie, ale z wielką siłą to, czego nie chciał mówić wprost. Wybrał się natychmiast, by objąć w posiadanie Stolicę papieską, ale wybrał się jako pielgrzym, bez orszaku, z kijem w ręce, modląc się i poszcząc w drodze. Wszedł do Rzymu boszo a wdział na się oznaki pontyfikalne i postępował jak papież dopiero wtedy, gdy go obrano wedle przepisów kanonicznych. W ten sposób inwestytura świecka spokojnie, bez konfliktów traciła na mocy a osłabiał ją ten, który się jej poddawał. Dwaj następcy Leona IX poszli za jego przykładem. Po kilku latach umysły tak

były oswojone z niezależnością Stolicy Apostolskiej, że w r. 1059 papież Mikołaj II mógł uczynić krok naprzód i ogłosić sławną konstytucję o elekcji najwyższych pasterzy.

Ta konstytucja jest wzorem energii i bystrości. Z jednej strony śmiało, głośno obwieszcza zasadę i chce, by papieża wybierało kolegium kardynalskie; z drugiej strony, licząc się z okolicznościami, postanawia, że obecny cesarz i każdy jego następca, któremu to Kościół przyzna, będą mieli prawo potwierdzania wyborów. To ustępstwo, mające jedynie na celu ułatwienie przemiany, wkrótce straciło wartość a została jedynie konstytucja z 1059 r. Nawiasowo dodam, że ona ma moc do dziś dnia, że zgodnie z jej przepisami obrano Piusa X i że wedle niej wybiorą jego następcę. Przyznacie, że prawo wyborcze, trwające już osiem wieków i pół, to wypadek rzadkiej długotrwałości, wypadek, jakiby trudno było znaleźć poza Kościołem katolickim.

Więc papieżstwo już oswobodzone! Teraz kolej wyswobodzenia Kościoła, to bowiem jest zadaniem Stolicy Piotrowej wedle tych słów rzeczonych do Piotra: Tu autem conversus confirmo fratres tuos. Oczy wszystkich zwrócone ku najwyższemu pasterzowi. Z trwogą i niepokojem oczekiwano oswobodzenia papieżstwa a teraz, cały świat żąda od Najwyższego Pasterza, by działał. Z łona Kościoła wznoszą się ku niemu głosy doniosłe, co go proszą o zbawienie społeczeństwa. Św. Piotr Damian był niejako

echem wszystkich. Chwila straszna! Wstrząsająca niepewność! Czy papieżstwo stanie na wysokości cywilizacji? Czy ośmieli się wypowiedzieć najwyższe słowo, którego, cofnąć już nie można, gdy wypowiedziane, a które ma być hasłem powszechnego zamieszania? Czy ośmieli się w oczy spojrzeć wszechpotężnemu złu i, zdawszy sobie dobrze zeń sprawę, w serce je uderzyć? Takie powstawały pytania, gdy wstępował na tron Piotrowy ten, który był duszą wszystkich reform, podjętych od jednego pokolenia. Zwał się Hildebrand, dziś się nazywa Grzegorzem VII. On sam stoi, jak człowiek, co dzieli wieki, na granicy między przeszłością i przyszłością. Trzyma pocisk w ręce, by go za chwilę rzucić. Rzutowi temu odpowiedzą zmieszane a straszne tysiące wrzasków, jakoby loskot całego świata, który się rozpada lub tworzy.

Wierzę, że Grzegorzowi VII drżała ręka w chwili, gdy miał cios zadać. To wielkie serce, być może najodważniejsze, jakie dotychczas biło na ziemi, uczuło tę wielką bojaźń, połączoną z omdleniem ciała, która nie była odjęta samemu P. Jezusowi w ogrodzie Oliwnym. A to dobrowolnej ofiarze tych, których Bóg wybrał na spełnienie wielkiego zadania, nadaje boski i wzruszający charakter. Oni sami są pierwszymi ofiarami, wiedzą o tem, ale działają. To też gdy w 1075 r. Grzegorz VII ogłosił potępienie inwestytury świeckiej, które jeszcze wzmocnił w 1078 r. i 1080 r., gdy zabronił nawet królom i imperato-

rom udzielania jakiegokolwiek godności kościelnej, to osiągnął najwyższego stopnia moralnej wielkości, na który się wznosił w swem życiu. Nigdy, ani w chwilowym błysku zwycięstwa, ani w wielkodusznej cierpliwości wśród utrapień wygnania Grzegorz nie uczynił nic wznioślejszego nad to obwieszczenie, które go pogrążyło w przepaści nieskończonych utrapień.

Wojna już teraz wzniecona. Trwać będzie całe półwiecze. Ani Grzegorz VII, ani Henryk IV nie ujrzą jej końca. Nie będę jej tutaj opowiadał — każdy podręcznik o niej mówi — chodzi mi tu tylko o wykazanie jej znaczenia. Była to walka krwawa i zażarta. Wzięły w niej udział wszystkie narody chrześcijańskie i wszystkie klasy społeczne. Wstrząsła ona do głębi światem chrześcijańskim, młodym jeszcze i namiętnym. Wywołała zatrząsienie pamfletów, w których niczego nie uszanowano i walczone z nieznaną dotąd gwałtownością. Widziała poddania się i zwroty dziwne i wstrętne, płaszczenie się najmęższych charakterów. Sprawie dobrej w sobie, na którą napadano z niebywałą wściekłością, szkodziły nieraz wybryki jej obrońców. Duch rewolucyjny nie raz jeden zdawał się pracować pod opieką władzy. W takim zamieszaniu konserwatyści zachłanni zwracali się nieraz z gniewem ku najwyższemu pasterzowi, by mu rzec: Oto twoi sprzymierzeńcy i twoje dzieło.

I jak to często bywa, bez wzdrygnięcia się utożsamiano reformatorów z rewolucjonistami. Świadectwem ta szlachetna demokracja katolicka z Milanu pod przewodnictwem św. Arialda i św. Erlembolda. Na wzgardę zwano ich kotarami, a ona uszlachetniła tę nazwę. Wichura, co wszystko burzyła, zdawała się sprowadzać noc do umysłów i upadek chrześcijańskiego społeczeństwa. Nieprzestraszone tymczasem wśród powszechnej zawieruchy papieżstwo w osobie Cizegiciza VII, zmarłego w Salerno, Wiktora III, uciekającego z Rzymu w sam dzień swego wyboru, Urbana II, przygotowującego pierwszy pochód krzyżowy pośród tych walk, Paskala II, co siedział w więzieniu Henryka V, to papieżstwo widziało pod drgającą konwulsjami powierzchnią plon przyszłości. Prawdy, które siał, rosły pod wiatrem huraganu w sumieniach narodów. Żywotne zasady chrześcijańskie doprowadzały powoli do zbudowania wniosków w przejrzystych i energicznych formułach, które z wolna opanowywały ludzkie umysły. Oparte na elicie świeckiego i zakonnego duchowieństwa, podtrzymywane przez przychylność coraz wzrastających tłumów, obsługiwane czystem poświęceniem, jak np. Klotyldy Toskańskiej, zwanej Joanną D'Arc papieżstwa, papieżstwo trzymało się dobrze.

W 37 lat po swej śmierci Grzegorz VII tryumfował z grobu. Konkordatem w Worms w 1122 r. Kościół zmusił Państwo do uznania praw, o które tyle walczył. Zwrócono Kościo-

lowi wolność kanonicznych wyborów, poczynawszy od papieża aż do dostojników niższych. Uznano go za pana u siebie w domu. W kwestyach mieszanych miał postępować wedle swego zwyczaju.

Mając teraz zupełną swobodę poświęcenia się wielkiemu dziełu reformy, Kościół wykazał w niej energię i działalność bez granic. W niespełna pół wieku wykorzenił manicheizm, wysłał całą Europę w pochodach krzyżowych, stworzył ze swego Iona trzy nowe zakony, jeden dla posługiwania około dusz, drugi dla głoszenia słowa bożego i trzeci dla praktykowania ubóstwa. Kierował tworzeniem gmin i uniwersytetów, udzielał uroku, którym był otoczony, sztuce gotyckiej i scholastyce, widział, jak jego święci wstępowali na trony Francji i Kastylii. W ciągu dwóch wieków, dwunastego i trzynastego, był najwyższą powagą na Zachodzie, wyrocznią chrześcijańskiego świata.

Takie były wyniki tej szlachetnej reakcji, dzięki której Kościół zbawił swą przyszłość, wyrwawszy się z ucisku feodalnego, który chciał z niego uczynić religię zamkowej kaplicy i związać jego losy ze swem chimerycznym przeznaczeniem. Wielkość tego wydarzenia można pojąć, gdy się porówna czem był świat chrześcijański na początku konfliktu, a czem się stał potem. Każdy zrozumie, że nie jest to przesada, widzieć w tym zbawiennym kryzysie jeden z istotnych przełomów w dziejach cywilizacji.

WYKŁAD IV.

Kościół i Neocezaryzm

Po wojnie o inwestyturę Kościół, zwycięzca nadużyć, które go plamiły, został otoczony niebywałym urokiem. Papiestwo, podobne do słońca u zenitu, stało się najwyższym sędzią moralnego i religijnego życia narodów: żadna sprawa społeczna nie była mu obcą.

Jaki użytek uczyni papiestwo ze swego tak wielkiego wpływu? Obralo ono sobie podwójny cel: zapewnić Europie pokój i wszystkie jej siły zwrócić przeciw Islamowi. Z wielką odwagą i wspaniałem zaparciem papieże stale dążyli do tego celu. Ich ciągłą troską był pokój między narodami, tak jak pokój między jednostkami był troską biskupów, którzy w X i XI w. potrafili wprowadzić dni Pokoju Bożego. Papiestwo marzyło o wprowadzeniu tych pokojów bożych, już nie dla poszczególnych ludzi, ale dla narodów. Ono pragnęło tego pokoju dla niego samego, bo cywilizacja nie ma

wznioślejszego celu nad pokój, a nadto i dla tego, by uspokojoną i zjednoczoną Europę przeciwstawić swemu odwiecznemu wrogowi, Półksiężycowi. A zauważcie, że to marzenie średniowiecznych papieży stało się dziedzictwem wszystkich szlachejnych umysłów, od Joanny D'arc i Krzysztofa Kolumba aż do Leibnitza i kard. Lavigerie. My mamy prawo wierzyć, że ono będzie także ideałem Europy, gdy się stanie chrześcijańską i gdy się pogodzi z Ideałem.

Blask społecznego znaczenia papieństwa w owej epoce znalazł swój wyraz w niebywalej okazałości świąt podczas pierwszego jubileuszu w Rzymie 1500 r. za papieża Bonifacego VIII. Przez cały rok papież mógł widzieć z okien swego pałacu, jak cały świat chrześcijański defilował przed nim w pielgrzymce do grobow apostolskich, by tam zyskać jubileuszowe odpusty. Wieczne miasto przedstawiało widok nie do uwierzenia: nie było w niem nigdy mniej 200000 pielgrzymów. Jest to cyfra ogromna, jeśli się na nią patrzy w świetle niedostateczności tamtoczesnych środków komunikacji. Naoczny świadek opisał nam w nieśmiertelnych wierszach te tłumy, co szły po moście św. Anioła do Watykanu lub stamtąd wracały. Idący trzymali się prawej strony, wracający lewej, jakto i dziś bywa na mostach wielkomijskich niemieckich. Jak poezya, tak i malarstwo uwieczniło to wspomnienie: jednym z najstarszych obrazów Giotta

jest jego, widzialny dziś jeszcze w kościele św. Jana na Lateranie, Bonifacy VIII, ogłaszający jubileusz z wysokości loggia swej świątyni. Tak, w tym roku upajającym, gdy papież się wydał niejako czemś więcej, niż człowiekiem, gdy u stóp swoich widział całą ludzkość, trzeba mu było aktu głębokiej pokory, by oprzeć się sugestyi tak wielkiego powodzenia; musiał on sobie nieraz jeden przypomnieć te słowa, które wypowiedziano w dzień jego koronacyi w czasie palenia konopi u stóp tronu pontyfikalnego: Ojciec św., tak przechodzi chwala tego świata

W rzeczy samej, tak pierzchła chwala tego świata dla Bonifacego. Ten starzec siedemdziesięcioletni przed śmiercią musiał patrzeć na katastrofę, w której miały utknąć niezrównane dzieje Stolicy św. W dwa lata po tryumfach wielkiego jubileuszu, płatni wielce chrześcijańskiego króla sztyletowali Namiestnika Jezusa Chrystusa we własnym pałacu; naród, co się zwał córką pierworodną Kościoła, przygotował upadek Stolicy rzymskiej. Gdy papież, napojony goryczą i upokorzeniami, zstępował do grobu mógł sobie być powiedzieć, że spełnił się wielki przewrót, albo conajmniej, że zwycięsko ogłoszono jego zasadę i że na długie wieki odjęto Namiestnikowi Jezusowemu panowanie nad społeczeństwem.

Jakiż to jest ten wróg tajemniczy a straszny, co wstrząśnie chrześcijańską Europę, co zniszczy działalność papieską i zmieni bieg cy-

wilizacy? Jedno słowo wystarczy na jego określenie: to zlaicyzowane państwo, siła nowa i zdobywczą, nieznaną wiekom dawnym, siła, co się podniosła z nienacką, jak olbrzym, wyrosła obok papieżstwa, któremu wypowiedziała wojnę bez pardonu. Uzbrojone od początku teorią, stanowiącą jego siłę, narzucające się swym wyznawcom z powagą niepodlegającego krytyce dogmatu, a w rzeczywistości wierzące tylko w jedną zasadę, siłę, państwo świeckie zaczęło z Kościołem Chrystusowym wiekową walkę. Walki tej dziś jeszcze końca nie widać, a jej przyszłe losy przedstawiają dla nas ustępujących najpoważniejsze zagadnienie dziejowe.

By zrozumieć nadchodzący dramat, trzeba się przedewszystkiem przejąć duchem, który ożywia ten nowy, wstępujący dopiero na widownię, czynnik.

Tutaj nadarza mi się sposobność znów przypomnieć, że światem rządzą idee. W niematerialnych sferach ducha tworzą się te niepokonalne siły, co niszczą lub zapładniają, podobnie jak tam wysoko, na samotnych i milczących szczytach Alp powstają potoki, spływające na dolinę i niosące jej życie, jeśli bieg mają spokojny, lub zniszczenie, jeśli je burza rozpęta.

Wznieśmy się więc na szczyty, aby się dowiedzieć, jak tam w dziedzinie ducha tworzyły się polityczne poglądy, które niby lawina, miały zaciążyć nad wzrastającym społeczeństwem. Od pierwszego rzutu oka widać, że są

to poglądy jaknajbardziej przeciwne duchowi średniowiecza. W prawie dla tamtoczesnych ludzi król był wodzem społeczeństwa. Religia wkładała nań znaną świętą i nienaruszalną. Jednakowoż jego władza nie była nieograniczona. Napotykała ona wszędzie, i w zamku obronnym seniora, i w otoczonym grodzie gmin, i pod sklepieniem kościołów oraz monasterów, i na wzniosłym tronie św. Piotra, żywotne siły, będące jej przeciwstawą i nie pozwalające jej przekroczyć oznaczonych religią i zwyczajem granic. Władca granic tych przekroczyć nie mógł, jeśli nie chciał widzieć wzrastającego wokół tronu publicznego gniewu.

Jeśli tak było, jakże się to stać mogło, że idea królewskiego absolutyzmu mogła w pewnej chwili tak całkowicie opanować umysły i tak ostatecznie zwyciężyć, iż usunęła wpływ Kościoła i jego zwierzchnika na współczesną politykę? Sprawa to bardzo zagmatwana, postaram się jednak opowiedzieć ją jasno i ściśle.

Rzecz to oczywista, że współczesne narody (w pewnej mierze wszystkie narody) mają nieprzewyciężony wstręt do międzynarodowych rządów. Każdy naród w sobie samym szuka najwyższej zasady swego działania, ohotne posłuszeństwo okazuje jedynie władzom, które wyszły z jego łona, i jest skłonny do uważania za obcego tego, kto zbyt daleko odeń stoi. Instytucje religijne nie podlegają tej dążności odśrodkowej ze względu na swój święty charak-

ter i konieczną, stanowiącą część samego dogmatu, uniwersalność. Inaczej się rzecz ma z instytucjami politycznymi: ludy je znoszą wtedy tylko, gdy je wśród siebie posiadają. Na tem tle można wytłumaczyć rozpadnięcie się Państwa Karola W., oplakiwane jedynie przez garstkę kulturalnych umysłów, jakoteż wieczną opozycję Italii względem autorytetu swoich cesarzy. Te dążności narodowe stawały się namiętnościami, jeśli je choć trochę podjudzono, a nie znały granic z chwilą, gdy rząd widział interes w ich rozpętaniu. „Kto ma być panem królestwa francuskiego, papież czy król?” Na tak postawione pytanie jedna jest tylko odpowiedź. To też najlepsi chrześcijanie, tak zagadnięci, odrazu skupiali się koło króla, łącząc się z nim we wspólnej sprawie, przeciw Głowie chrześcijaństwa — dla obrony wolności narodowych.

Do tej samomiłości narodowej, której siły trudno przecenić, dołączyła się inna nie mniej potężna. Już minęły te czasy, w których cała wyższość intelektualna i naukowa znajdowała się w szeregach kleru. Już powstało i rozwijało się społeczeństwo świeckie, ono już miało wśród siebie umysły wyższe, uczonych legistów, polityków i już było świadome swej siły i godności. Wyrósłszy obok stanu kapłańskiego, już nie chciało jemu jedynie zostawić kierowanie umysłami i zwycięsko weszło do polityki i prawodawstwa.

Tak więc z jednej strony nacjonalizm, z drugiej laicyzm, chociaż w zasadzie oba nie

wrogie dla Kościoła, miały jednak swój ideał i dążyły do celu, który było łatwo przeciwstawić kościelnemu. Trzeba było wszelako jakiegoś ważnego czynnika, by ta przeciwstawność stała się wyraźną i weszła w skład świadomości ogółu. A czynnik ten był blisko. Przyjrzyjmy się mu obecnie.

Badanie starożytności było namiętnością całego średniowiecza, oddawano mu się tem ochotniej, że starożytność stanowiła w tej epoce prawie jedyny przedmiot naukowego poznania. Tam zapoznawano się z innym społeczeństwem, z inną, niż nasza, cywilizacją. Ta przedstawiała się przez świetlany pryzmat swych arcydzieł z cudownymi cechami lepszego świata. To też starożytni poeci i filozofowie cieszyli się w średnich wiekach powagą, ustępującą miejsca jedynie autorytetowi Ewangelii. Arystoteles był fetyszem Szkoły, mistrzem uczonych, z chwilą powołania się na jego powagę (magister dixit) wszystko się kończyło. W Wirgilim zaś nie wystarczyło czcić największego poety, uczyniono zeń niezwykłą osobistość, coś z maga, coś z proroka. Czasami to uwielbienie wprost przewracało ludziom w głowach, jak temu biednemu mnichowi z X w., który, ra 600 lat przed Don Kiszotem, uznał wszystkie wymysły wirgiliuszowskie za byty realne i uczył, że prawdziwą religią jest jedynie ta, którą opisano w Eneidach.

Nigdzie jednak ten fetyszizm względem starożytności nie przyjął tak dziwacznych postaci i nie sprawił tyle strasznych skutków, jak wśród

ludzi, oddanych nauce prawniczej, zwanych wtedy legistami. Przytoczę jeden tylko objaw tej umysłowej choroby. Wedle opowiadań kronikarskich czczono przechowany jeden we Florencji manuskrypt Pandektu, jako relikwię. Przychodzono doń z pielgrzymkami. Mężczyźni ze światłem w ręce stawali po prawej i lewej stronie witryny, gdzie boski skarb odbierał cześć od swych wielbicieli. Była to tylko dziecinnada! Gorszem było to, że od XI w. szkoła bolońska, pierwsza szkoła prawa w Europie, szerzyła na zachodzie kult dla Corpus Juris Civilis, nie chcąc uznać żadnego innego źródła umiejętności prawnej. Coraz więcej zarzućano prawo narodowe państw nowożytnych, wzgardzone i wyśmiane przez pysznych z znajomości dzieła Justynianowego legistów. Prawo rzymskie zaczynało ten zwycięzki pochód, który powoli opanował cały świat chrześcijański.

To ślepe uwielbienie można częściowo wytłumaczyć rzeczywistością pod pewnymi względami wyższością prawa rzymskiego nad germańskim średniowiecznym. To ostatnie bowiem, jako powstałe ze starych zwyczajów barbarzyńskich, zachowało na sobie ślady tych pierwotnych urządzeń społecznych, których było wyrażeniem. Napisane w języku niekształtnym, zawierało prawie wyłącznie prawo karne, a nie dawało rozwiązania większości tych złożonych zagadnień, które wynikają ze wzajemnych stosunków ludzi cywilizowanych. Dla uczonych nie miało żadnego uroku, nie przywoływało na pamięć żadnego wielkiego

prawnika, było podobne do tego wyrosłego i krótkiego ubrania, które, acz dobre dla dziecka, krępuje ruchy dorosłego. Prawo zaś rzymskie przeciwnie, jako obrabiane od wieków przez całe pokolenia uczonych, przedstawiało wspinały pomnik, wsparty na potężnych podstawach i zbudowany w niezniszczalny sposób. Ono posiadało rozmach, bogactwo i naukową ścisłość, godną wielkiej cywilizacji. Wszystko w niem przewidziano, rozstrząsniono, osądzono,—a dokonał tego umysł świetlany i głęboki, który, zda się, przeniknął całe do głębi życie społeczne, umysł, mający w sobie coś powszechnego i nieomylnego. Naród rzymski, naród par excellence prawniczy, nie stworzył nic większego nad swe prawo. Ten, kto chce poznać ów naród w dziele najlepiej oddającym jego geniusz, musi zbadać jego pomniki prawodawcze. Nic przeto dziwnego, że duch ludzi średniowiecznych niejako się upił widokiem prawa rzymskiego. Tak podobnie owi podróżni tamtocześni mieszkańcy miast północnych, w których nie zbudowano jeszcze wielkich katedr, stawali pełni uszanowania przed kolumną Trajana, przed Kolizeum lub Łazienkami Karakalli. Ponieważ zaś od zachwytu do naśladowania krok jeden tylko, to każdy zrozumie, że ten krok uczyniono, że marzono, by z Corpus Juris Civilis uczynić kodeks społeczeństw cywilizowanych swego czasu.

Niestety tutaj początek oplakania godnego i tragicznego błędu:

Zapewne, z punktu widzenia naukowego prawo rzymskie było bezwątpienia wyższe od prawa średniowiecznego, podobnie jak w stosunku do urządzeń społecznych przedstawiało doskonałość, do której nawet się przybliżyć nie mogły kodeksy barbarzyńskie. Ale pod względem politycznym uświęcało ono system, od którego, jakby się zdawało, duch wolnych ludzi średniowiecza winien się był ze wstrętem odsuwać. W tem prawie bowiem absolutyzm królewski podniesiono do godności nauki ze śmiałością i logiką, jakiej nie znaleźć gdzieindziej. Albowiem według niego, zwierzchnik naczelny, tj. imperator, był prawdziwym bogiem — oczywiście, nie w tem znaczeniu, żeby Rzymianie, sceptycy i niewierzący z czasów Cesarstwa, uznawali w panującym boską naturę — dobrze oni wiedzieli o ich ludzkiej naturze — ale, że mu przyznawali nad wszystkimi podwładnymi tę samą władzę, jaką przyznawano Bogu nad stworzeniami. Kaprys, krwi żądny a nieczysty, zwykle kierował tą tłuszcza tyranów, co noszą wstrętne miana Kaliguli, Nerona, Domicjana, Kombroda, Karakalli, Heliogabala i in. Jednakże gięto się przed nimi bez oporu i pomruku, nawet w chwili konania silono się na przesłanie Panu pozdrowienia umierającego gladyatora. Świat pogański nie miał pojęcia ani o innej formie najwyższej władzy, ani o innym rodzaju posłuszeństwa.

Dziwna rzecz, średniowieczni legiści, zahpnotyzowani przez *Corpus*, nie cofali się przed przyjęciem tej monstrualnej teorii o władzy, choć się ona tak zasadniczo sprzeciwia poglądom chrześcijańskim i tradycjom germańskim. Przekonani o idealnej doskonałości prawa rzymskiego, nie widzieli, czy widzieć nie chcieli, tej niezaprzeczalnej skazy na arcydziele. Trzeba wierzyć, że w absolutyzmie cesarskim dopatrywali się warunku i rękojmi tej doskonałości. Zapewne wmówili w siebie, że panujący musi być wszechpotężnym, jeśli ma utrzymać posłuch dla prawa w całej jego rozciągłości. Przyjęto więc en bloc prawne dziedzictwo cesarstwa rzymskiego. Wskutek czego cezaryzm — to miano nosi w historii teorya rzymska absolutnej władzy — stał się pierwszym artykułem ich politycznego Credo.

Nie dziwię się, że ludzie, urodzeni w społeczeństwie wolnem, stali się apostołami absolutyzmu i marzyli o narzuceniu rodzajowi ludzkiemu niewolnictwa. Takie zboczenia nie są rzadkością. Doktrynerstwo wyjaśnia ich powstanie, choć nie usprawiedliwia. Zresztą, ludzie prawie nigdy nie widzą konsekwencji przyjętych zasad. Niejedenby się wzdrygnął przed skutkami tych zasad, które z takim zapalem głosił. Jest to objaw wrodzonej słabości ludzkiego rozumu. Upokarzające to, aleby było dzieciństwem nie przyznawać się do tego.

Gdy legiści dostatecznie rozszerzyli i rozwinęli swe zasady, znaleźli się panujący, którzy je chcieli w życie wprowadzić. Byli nimi królowie niemieccy z domu szwabskiego. Hohenstaufowie — tak się zowią od ojczyźnego zamku — posiadali, obok wielkich zdolności umysłowych, ambycję bez granic. Przeto stali się gorliwymi bojownikami tych nauk, gdyż w nich znajdowali pokarm dla swej pychy. Oni to pierwsi zaczęli uważać siebie za prawych w prostej linii następców starożytnych cesarów rzymskich, by z tego powodu módz dla siebie żądać tej władzy, którą mieli wrzekomi ich przodkowie. Jako chętni uczniowie legistów, na ich zasadach oparli swą politykę, chcąc je wszędzie przeprowadzić.

Ale świat średniowieczny nie był jeszcze dojrzał do niewolnictwa. Papież protestował, podniosły się gminy, nawet część panów feudalnych nie chciała przystać na zamianę suwerena na pana. Po próbie narzucenia Italii, prześląkniętych duchem szczerego cezaryzmu, praw, cesarz Fryderyk Barbarosa natknął się na rozpaczny opór miast lombardzkich. W r. 1176 pokonały go w sławnej bitwie pod Legnano i zmusiły do uroczystego uznania praw, któremi pomiatał. Jego wnuk, Fryderyk II nanowo podjął to zadanie w XIII w., ale również zwyciężony, wyklęty przez papieża, musiał patrzeć, jak się rozpada jego potęga; umarł w samą porę; już nie widział ostatecznego upadku i wymarcia

całej swej dynastji. Takto po dwa razy legiści przegrali. Po dwa razy duch katolicki zwyciężył teorye cezaryzmu i utrzymał na ruinach cesarstwa, które cesarze sami zniszczyli swą pychą, wielką zasadę chrześcijańskiej republiki średniowiecznej. Europa nadal cieszyła się moralną i religijną jednością, pozostając pod międzynarodową Władzą Pokoju, którą dzierżyli papieże, jako obrońcy prawa i stróże publicznych wolności.

Niestety, acz w tych dwóch zatargach ludy powstały przeciw nowej idei, to jednak ona sama nie umarła: bitwy nie zabijają idei. Zasady cezaryzmu nie przestały szerzyć się wśród legistów. Że zaś liczba legistów wzmagala się w społeczeństwie, które rozrastając się potrzebowało ich coraz więcej, doszło więc do tego, iż w całej Europie był jakoby sztab generalny umysłów kierowniczych, przejętych duchem publicznego antychrześcijańskiego w swej istocie prawa, chociaż jego zwolennicy nie zawsze mieli świadomość co do charakteru tego prawa. W pół wieku po drugiej przegranej nadejdzie dzień, w którym legiści odniosą zwycięstwo.

Odniosą je we Francji, da im je król Filip Piękny. Wnuk Ludwika IX, ozdobiony urokiem, którym święty król owia koronę i dynastję, obdarzony nadto jednym z najbardziej bystrych i nakazujących charakterów w historii, Filip Piękny mógł wiele zdziałać dobrego lub złego. Niestety był otoczony plejadą legistów takich,

jak Enguerrand de Marigny, Piotr Flotte, Wilhelm de Plasian, Wilhelm de Nigaret i in. niecnymi ludźmi. Ich towarzystwo było dla niego niejako umysłową atmosferą, oni zaprawiali umysł króla w nowej nauce. To też król wyszedł z tej szkoły z chłodnym fanatyzmem despoty, niezdolny do reagowania na jakąkolwiek pobudkę moralną, skłonny do poświęcenia wszystkiego dla swej pychy.

Ten człowiek zaczął nową erę w historii nowożytnej. W rzeczy samej jego walka z papieżem nie jest tylko epizodem z historii średniowiecza. Ona stanowi jeden ze zwrotów historii powszechnej. Przeto zatrzymajmy się, by rozważyć całą wagą mającej się rozegrać walki.

Kiedy papież Bonifacy VIII wstępował na tron Piotrowy (1294), smutne wypadki trapiły chrześcijaństwo. Muzułmanie tylko co zdobyli ostatnie miasto, które chrześcijanie posiadali w Ziemi Świętej, Saint-Jean d'Arc. Przeto cała Palestyna dostała się w ich ręce. Naprózno przez dwa wieki lała się krew dwu milionów chrześcijan na jej obronę! Był to gorzki ból dla ojca św. Wdziewając na się, jak mówi poeta ciężar wielkiego płaszcza, Bonifacy odczuwał to całą siłą delikatnej duszy. Przeto marzeniem jego było zaradzić temu straszному położeniu, utrzymując z jednej strony pokój między książętami chrześcijańskimi, z drugiej zyskując ich dla nowej wyprawy do Ziemi Św. Dla tego należało za wszelką

cenę niedopuszczyć do wiszącej już wojny między Filipem Pięknym, królem francuskim, a Edwardem I, królem angielskim. Dwaj przeciwnicy jednali sobie wszędzie przyjaciół. Filip liczył na Szkocję, Edward na cesarstwo, Flandryę, Brabant. Wtedy się Papież wmieszał na mocy swego obowiązku, odwołując się do uczucia ludzkości tych wściekłych waryatów, co uwzięli się, by z najbłahszych powodów zalać krwią świat cały. Mówił do nich językiem szlachetnym, mocnym a czułym i poufałym, jak tego można było oczekiwać od Głowy chrześcijaństwa. „Sąż to — zwracał się do nich — zajęcia godne was i waszych przodków? czyż to w taki sposób chcecie wypełnić wasz obowiązek okazywania pomocy chrześcijanom w Ziemi Św.?”¹⁾ Ustupując naleganiom papieskim, a zapewne też i głosowi chrześcijańskiego sumienia, dwaj rywale zdecydowali się podpisać rozejm na rok jeden, aż do 24 Lipca 1296 r. Dla cywilizacji było to zwycięstwo pełne nadziei. Tak też je osądził papież, bo 13 Kwietnia 1296 r. odnowił własną mocą rozejm na dwa lata jeszcze, zobowiązując do niego pod karą ekskomunikacji. Wszelako, by ułagodzić miłość własną dwóch królów, a może licząc na ich dobrą wolę, polecił swym legatom

¹⁾ List z 28 Maja 1295 w Registrach Bonifacego VIII, col. 295.

nie ogłaszać pokoju, chyba że królowie samiby inicjatywy do przedłużenia go nie podjęli¹⁾.

Wtedy to król Francji podniósł głos, rzucając po raz pierwszy teorię niezgodną z harmonijną całością społecznych nauk średniowiecza. Filip Piękny zaprotestował przeciw bulli papieskiej, nie chciał nawet wysłuchać jej czytania, dopóki nie uczynił następującej deklaracji: „że doczesny rząd jego królestwa do niego tylko należy; że w tej sprawie nie uznaje żadnego zwierzchnika; że się nigdy nie podda nikomu; że chce wykonywać swą władzę w granicach swego państwa, bronić swego królestwa i dochodzić swych praw z pomocą swoich poddanych, swoich sprzymierzeńców i Boga; że rozejm go nie obowiązuje wcale. Co się zaś tyczy rzeczy duchowych, to jest gotów, za przykładem poprzedników, pokornie przyjmować wskazówki Stolicy św., jako prawdziwy syn Kościoła“. W końcu dodał, że przyjmie pośrednictwo papieża, jako osoby prywatnej i wybranego sędziego, nie jako uznanego autorytetu.

Zapamiętajcie oświadczenia Filipa Pięknego, boć one są wielkiej doniosłości, wkrótce przerosną one sprawę, która je wywołała. Odmówić Ojcu św. prawa interwencji, mającej na celu nakazanie zachowania pokoju walczącym

¹⁾ List z 16 i 17 Kwietnia w Registrach Bonifacego VIII, col. 59 i nast.

królom, to nie tylko osłabić najszczytniejszy i najbardziej dobroczynny przywilej Stolicy św., to nietylko zniszczyć jedyną przeszkodę, która by się przeciwstawiała karygodnej ambicji przewracania świata i zalewania go krwią! Jakkolwiek już pod tym względem oświadczenia Filipa były straszne dla przyszłości cywilizacji europejskiej, to jednak stawały się jeszcze gorszymi przez uświęcenie zasady, na której się opierały. Po raz to pierwszy od początku chrześcijaństwa one głosiły rozdział polityki i moralności i uzależniały losy dwóch narodów od kaprysów osób panujących. Dotychczas było inaczej. Sami królowie rozumieli, że ich rządy muszą się dostosowywać do prawa moralności chrześcijańskiej. Filip Piękny przeczy temu, gdyż nie chce, by wolę panującego można było ograniczyć w imię tego prawa. To znaczy, że władza królewska chce być bez granic. W rzeczy samej, odtąd będzie miała tylko takie, jakie sobie sama naznaczy. Jest to teoria pogańska bez zastrzeżeń: król jest ponad prawem; prawo—to jego wola. Czego chce król, tego chce prawo. Przez cały przeciąg pięciu wieków będzie to aksjomatem dla rządów.

Pożyteczną rzeczą będzie wskazać tutaj początek królewskiego absolutyzmu w Europie. Teoria ta pozostaje w krańcowem przeciwieństwie do chrześcijańskich pojęć o władzy. Wszak zasady, sformułowane przez Filipa Pięknego, papieże zwalczali i zwyciężyli w dwóch

walkach z Hohenstaufami. Pomimo tego staną się one pseudoprawem, na które się odtąd zawsze powoływać będą ci, którzy zechcą upokorzyć Stolicę Św. i umniejszyć jej znaczenie, którzy mimo Jej oporu, zechcą nadszarpnąć ten lub ów punkt ojcowizny starego prawa publicznego chrześcijańskiego. Godne to uwagi, że bardzo wielu historyków z bezkrytyczną rzeszą półmędrków twierdzi niemal ze śmieszną naiwnością, jakoby te zasady królewskiego absolutyzmu były zasadami katolickimi. Codzień w nas to wmawiają w polemikach dziennikarskich. Naprawdę, niewiem, co należy więcej podziwiać w powodzeniu tak śmiałego kłamstwa: głupotę tych, co temu wierzą, czy śmiałość tych, co je puszczają w obieg.

Co uczyni Bonifacy VIII wobec tych oświadczeń króla francuskiego, które po grubiańsku zaznaczyły rażącą sprzeczność nowej polityki z tradycją katolicką? Ten, kto zna naszego papieża jedynie z wiekowych kłamstw oficjalnej historyografii, odpowiedź ma prostą. „Bonifacy, taki powie, protestował, wyraził swe oburzenie, zapalił ogień ekskomunik na głowie śmiałego króla Francji“... Nic z tego wszystkiego nie było! Bonifacy zniósł upokorzenie, zostawił bez protestu aforyzmy nowej polityki, nawet się zgodził przyjąć rozjemstwo w tych upokarzających warunkach, nie jako autorytet i najwyższy pasterz, ale jako osoba prywatna, jako, wedle ówczesnego wyrażenia, Benedykt Cajetan¹⁾. Dlaczego

¹⁾ Tak się nazywał Bonifacy, zanim został papieżem.

tyle wspaniałomyślności i wyrozumiałości? Oczywiście dlatego, że dla papieża racja powszechnego pokoju przewyższa wszystkie inne, nawet te, które dotyczyły godności Stolicy św. W istocie z zaparciem się i gorliwością, której nie zabrakło ani na chwilę, oddał się cały wielkiemu zadaniu pogodzenia Francji i Anglii. Oto np. w jaki sposób pisze do cesarza Adolfa z Nassau, jednego z nieprzyjaciół Filipowych, by go odciągnąć od chwycenia za broń:

„Przepędziliśmy noc bezsennie, podejmując dobrowolnie trudy, by jeno mózgi ustalić pokojowe stosunki między Tobą i naszymi synami w Chrystusie, sławnymi królami: Filipem francuskim i Edwardem angielskim oraz zapewnić pokój ludowi chrześcijańskiemu. A to dla tego, by przywódcy wiernych i ich poddani nie zwrócili mieczów przeciw samym sobie, mieczów, które należało wydostać na obronę Ziemi Św. i przeciw nieprzyjaciółom krzyża Jezusa Chrystusa. Z tego to powodu zwracamy się do Was, prosimy, napominamy żywo i zobowiązujemy, przez krew wylaną Jezusa Chrystusa, byście nie zaczepili wymienionego króla francuskiego, ni jego królestwa. Niech raczej Wasz duch królewski okaże się wspaniałomyślnym i da się skłonić do pokoju lub co najmniej do dostatecznie długiego rozejmu, w którego czasie możnaby skutecznie o pokoju radzić w naszej obecności przez wysłańców stron“.

W końcu, 27 sierpnia 1298 r. Bonifacy VIII mógł wypowiedzieć swe zdanie, nacechowane nawskroś największą słusnością. Zdaniem nawet francuskich historyków król Francji nie miał prawa uzalać się. W istocie wyrok uznał małżeństwo jego córki Izabelli z księciem de Galles, chociaż to poświęcało Gui de Dampierre, który kolejno dwie swoje córki zaręczał z tym księciem, porzucając jedną po drugiej. Lecz, jak wspomniałem już, sprawa pokoju europejskiego usuwała na dalszy plan wszystkie inne racje. W ten sposób za cenę wielu utrapień Ojciec św. doszedł do tak pożądanego celu, chociaż w ostatniej chwili ten, kto najwięcej zyskał na pokoju, niby się wahał przyjąć rozjemstwa, będącego jakoby zbyt niekorzystnym.

Takie było pierwsze zetknięcie papieża i nowej polityki. Wypadało mi je wyłożyć szczegółowiej najpierw dla tego, że jest mało znane, powtóre, że scharakteryzowało znakomicie stanowisko dwóch stron w ciągu długiego a powstającego teraz konfliktu. Papież, jako urząd międzynarodowy i stróż ogólnych interesów chrześcijaństwa, usiłuje utrzymać pokój wśród ludów i celem dojścia do tego wielkiego dzieła, czyni zgodne ze swą wysoką powagą ofiary i ustępstwa. Natomiast król francuski nie ma podobnych trosk: jego jedynym zamiarem jest utrzymanie absolutyzmu wobec najwyższego Pastera i swoich poddanych, bez żadnego oglądania się na ogólne dobro cywilizacji. Dla papieża rze-

czą najważniejszą—pokój świata, dla króla—jego bezgraniczna władza. Dodajmy—bo to nader ważne — że w tych sporach Ojciec św. jest wcieleniem katolickiej tradycji w Europie, król — rewolucyjnych dążeń legistów. Trzeba było koniecznie wyraźnie przedstawić tę sprzeczność stanowisk, bo pisarze od łokcia pozamieniali role działaczy. Wedle ich świadczeń papież napada, a król się broni.

Cały dalszy ciąg sporu między Bonifacym VIII a Filipem Pięknym przedstawia te same cechy, co pierwszy epizod. Wynikła w krótkim czasie sprawa immunitetów kościelnych znów stawia naprzeciw siebie papieżstwo, które broni tradycyjnego prawa publicznego chrześcijańskiej Europy, i króla, który stara się o zwycięstwo rewolucyjnych zasad pogańskiego prawa. Filip zawsze potrzebował pieniędzy, legiści go nauczyli, że majątek poddanych do niego należy. To też brał wszędzie, gdzie co znajdował. Zabierał dobra templaryuszów, zabierał dobra Żydom, zabierał dobra wszystkim płacącym podatek przez puszczenie w obieg złego pieniądza. Naturalnie, chciał również zabrać dobra Kościoła.

Lecz dobra kościelne były zabezpieczone specjalnymi immunitetami. Wedle tamtoczesnych poglądów były to dobra ubogich, nie mogły podlegać podatkowi. To nie znaczy—aczkolwiek niektórzy z niepojętą niewiadością tak twierdzą—jakoby Kościół nic nie dawał na publiczne potrzeby. Nie. Kościół dawał, ale w postaci

ofiar dobrowolnych, dając królowi, gdy tego potrzebował, dziesiątą część całkowitego dochodu. Była to dziesięcina. Obliczono, że przez przeciąg lat nieco większy, niż pół wieku (od 1247 do 1300) duchowieństwo francuskie wypłaciło królowi 39 dziesięcin, tj. około czterech razy cały swój dochód, inaczej piątą część całego swego mienia. Te cyfry są dowodem, że egzem-cya podatkowa była dla Kościoła jedynie honorowym przywilejem, bo patryotyzm duchowieństwa równoważył immunitety. Dobrowolne ofiary więcej je obciążały, niżby to czynił podatek obowiązkowy.

Nakłaniane w 1295 r. do płacenia nowej dziesięciny, duchowieństwo odmówiło i wobec nowych nacisków odniosło się do papieża. Ojciec św. był stróżem przywilejów całego Kościoła i obrońcą wszystkich praw. Przywołany przez kler francuski, miał ścisły obowiązek pod karą sprzeniewierzenia się swym najświętszym powinnościom, przyjść z pomocą uciśnionym. Uczynił to. Nie będąc opowiadał szczegółów tego nowego z koroną konfliktu; wystarczy, gdy powiem, że papież okazał się tutaj znowu jak najbardziej wspaniałodusznym wobec przewrotnego króla. Przypominając mu (jak to było jego obowiązkiem), że nie miał prawa brać podatku od kleru bez zgody papieża, jednocześnie oświadczył, że nigdy tej zgody nie odmówi, ilekroć będzie chodziło o obronę królestwa, że raczej sprzeda święte skarby, niżby miał zaniedbać

tak wielkiej sprawy. Dodał nadto, że w wypadku rzeczywiście nagłej konieczności, pozwala na ofiary bez odnoszenia się do siebie, lecz we wszystkich innych razach, trzeba się zawsze stosować do prawa. Należy wyznać, że Ojciec św. posunął tak dalece chęć do zgody, jak tylko pozwalała sprawiedliwość i że dzięki temu umiarkowaniu, sporu jeszcze raz uniknięto.

Ale nie na długo. Pogarda dla prawa była zawsze cechą charakterystyczną Filipa Pięknego. Korciło go, możnaby powiedzieć, że jednak nie posiada pełni królewskiej władzy, bo spotyka nieprzekroczone jeszcze granice. Pewnego dnia Ojciec św. prosił króla o uwolnienie nieszczęśliwego hrabiego Flandryi, Gui de Dampierre, który jęczał w więzieniach królewskich. Spełnienie tej prośby, tak godnej Ojca wszystkich wiernych, powierzono Bernardowi Saisset, biskupowi z Pamiers. Co się działo na posłuchaniu między królem i biskupem? Nie wiemy. Lecz król utrzymywał, że wysłannik odzywał się doń bez uszanowania, więc ścigał biednego pralata z nienawiścią nie do uwierzenia. Żądał, żeby papież odjął mu charakter biskupi, nawet wogóle przywileje kapłańskie, by on sam mógł go potem pozwać przed sąd świecki i skazać jako przestępcę stanu. To żądanie było rzeczywiście natrząśaniem się. Zdawałoby się, że król uczynił sobie zabawkę, wymagając od papieża, by za jednym razem złamał wszystkie święte prawa: należne biskupowi uszanowanie, prawowity im-

munitet kapłana nietykalność ambasadora, że już pomnę to haniebne upokorzenie, żeby nakładał wstrętne kary na sługę za to, że słuchał swego pana.

Papież odpowiedział z godnością pokojem, które daje siła. Wziął przed swój trybunał sprawę Bernarda Saisset i zajął się zwołaniem w Rzymie koncylium, by radzić nad tem, co należy czynić. Jednocześnie sam się zwrócił do tyrana, by mu w bulli *Ausculto fili* wyłożyć swe troski i żale w tonie, o jakim pojęcie sam tytuł daje (Słuchaj, mój synu). Na te legalne środki król pod wpływem legistów odpowiedział szeregiem obrzydliwych gwałtów i zbrodni. Zwołał stany generalne Francji i odczytał im sfalszowaną bullę papieską, sfabrykowaną przez prawników, bullę, gdzie włożono w usta papieża słowa wyniosłe i pogardliwe. Poczem dał do odczytania legiście odpowiedź papieżowi, pełną obelżywych potwarzy. Skutkiem tej niecnej roboty otrzymał od oszukanych i steroryzowanych stanów aprobatę swego z papieżem postępowania.

Tym razem cierpliwość została wyczerpana. Papież ogłosił bullę *Unam Sanctam*, uroczysty, umiarkowany wykład ścisłej nauki katolickiej o stosunku dwóch władz, takiej, jaka z tradycji była w Kościele i jaką sformował Grzegorz VII, Aleksander III i Innocenty IV. Jednocześnie przygotowywał wyklęcie przewrotnego króla. Wtedy Filip Piękny decyduje się na zadanie ostatniego uderzenia. Jak gdyby chciał

przewyższyć wszystkie swoje dawniejsze zbrodnie, wysłał copędzej do Italii jednego z najgorszych znieważycieli papieża, wspomnianego już Wilhelma de Nogareta, z poleceniem, aby stworzył spisek przeciw Stolicy św. Po próbie zachwiania wierności ludu rzymskiego, ten nędznik sam zabrał się do pochwylenia starca w małym miasteczku Anagni. Bonifacy był bez obrony; przywdziawszy godło papieskie i trzymając w ręce klucze św. Piotra, oczekiwał nieprzyjaciół. Ani ta wielkość duszy, ani majestat Namiestnika Jezusowego, ani białe włosy osiemdziesięciosześcioletniego starca nie wzruszyły zbrodniarzów. Przez trzy dni papież zostawał w ich mocy, dopiero trzeciego dnia wypędzili ich mieszkańcy Anagni. Bonifacy nie chciał, by ich ścigano, ale tyle wzruszeń złamało jego siły. Po kilku dniach wyzionął ducha.

Oburzenie świata chrześcijańskiego było wielkie po otrzymaniu wiadomości o zamachu w Anagni. Nawet Dante, któremu się zdawało, że ma słuszne urazy do starca papieża, potępił śmiało sprawców zamachu w tych wierszach nieśmiertelnych: „Widzę, jak sztandary franków wchodzą do Anagni, widzę, jak Chrystusa wiąza w Jego Namiestniku, widzę, jak go nanowo poddano na pośmiewisko, napojono żółcią i octem, jak go ukrzyżowano między nowymi lotry“.¹⁾

¹⁾ Dante; *Czyszciec* XX, 86—90.

Ten sąd największego poety wieków średnich był sądem sumienia ludzkiego. Wiedzieli o tem nędzni dworacy absolutnej królewskości. Przeto, naśladując w tem przykład królewskiego złoczyńcy, poczęli z namiętnością i cynizmem bez granic pracować nad sfalszowaniem opinii przyszłości. Naprześladowawszy się ofiary, chciano ją znieważyc; doprowadziwszy ją do śmierci z bólu, chciano zniesławić jej imię. Z trudnością można sobie wyobrazić, jak namiętnie Filip Piękny rzucił się do zhańbienia papieża Bonifacego VIII wobec swoich następców. Wprawdzie to mu się nie udało, ale przynajmniej tego dokonał, że wywołaniem zamieszaniem odwrócił uwagę od swoich zbrodni. Co zaś do historyków oficjalnych, zwłaszcza co do Dupuyów, Bailletów i wiele innych, to oni kontynuowali zostawioną przez legistów filipowych tradycję. Fabrykowali dokumenty, inne fałszowali; w tych, których nie mogli usunąć ani przeinaczyć, zmieniali przynajmniej datę, aby móżdż zmienić znaczenie a często wynaleść w nich rzeczy wprost przeciwne temu, co zawierały. Słowem,—nad pamięcią Bonifacego VIII tyle nagromadzili kłamstw i oszczerstw, że jeszcze po pięciu wiekach nie zdołano całkowicie uprzętać historycznego terenu.

Wszelako godzina sprawiedliwości wybiła. Od chwili, gdy królewski absolutyzm w kolejnych wiekach zwyciężony, już nie ma na swą obronę wiarobornych pióra plugawców, sami historycy

francuscy dziś uznają, jak ich królowie maltretowali prawdę wtedy, gdy im tego było potrzeba. Wyznają także, że w tym wstrząsającym dramacie napad nie wyszedł od papieża, bo ten się ograniczył do obrony wiekowych pozycji, ale od władzy królewskiej, która uzbrojona w teorye cezaryzmu, dążyła do przewrotu politycznego ustroju, opartego na jedności religijnej świata i na pośredniej władzy papieżów. „Bonifacy VIII, pisze Boutariac w sławnej swej książce, nie wniósł na Stolicę Piotrową nowych uroszczeń; jego polityka wobec zagranicznych książąt była taka sama, jak i jego poprzedników”.¹⁾ Ale nikt nie powie, że polityka Filipa Pięknego było polityką św. Ludwika. Była ona co najwyżej polityką Fryderyka Szwabskiego, tj. ostatecznie cesarów rzymskich. Innymi słowy, była to polityka pogańska, czyniąca nowy wysiłek, by odjąć zasądom chrześcijańskim kierownictwo nowożytnymi państwami.

Mówiłem już, że ta polityka zwyciężyła i wspomniłem na początku tego wykładu, co przychylnego napotkała w ciele społecznym. Na zakończenie chcę krótko wskazać skutki tego zwycięstwa.

Najpierw, zniszczenie t. zw. republiki chrześcijańskiej średniowiecznej. Aż dotąd Europa znakomicie była zjednoczona nietylko je-

¹⁾ E. Boutariac, *La France sous Philippe le Bel*, 94.

dnemi i temi samemi wierzeniami religijnymi, ale nadto tożsamością politycznych zasad. Prawo łączyło z moralnością chrześcijańską. Namiestnika zaś Chrystusowego uznawano za jej tłumacza. Od czasów Filipa Pięknego już tak nie jest. Niemasz więcej republiki chrześcijańskiej. Poznano to po zniknięciu wielkiego faktu, co znamionował jej istnienie — pochodów krzyżowych. Europa, która aż dotądniosła sztandar krzyża do Jeruzalem, do Tunisu i Damaszku, usunęła się od pochodów. Należało zwrócić Islamowi Jeruzalem i oddać mu Konstantynopol. Mahomet staje się arbitrem Morza Śródziemnego a Turek postrachem świata. Tak neocezaryzmowi zawdzięczamy pograżenie najpiękniejszych krajów ziemi w barbarzyństwo. Takim jest z punktu widzenia międzynarodowego bilans królewskiego absolutyzmu.

Z punktu widzenia narodowego absolutyzm zerwał równowagę społecznego ciała, skoncentrował całe życie w głowie, uśmiercił instytucje wolne i uczynił z rewolucyi jedyną możliwą przeciwwagę tyraństwa. Ale to nie wszystko. Narody chrześcijańskie, wyrwane z pod kierownictwa Kościoła, nie znalazły swej drogi: zdaje się, że są skazane na przejście całego cyklu błędów, zanim powrócą do prawdy. Codzień podają ucho nowym a kolejno bankrutującym systemom. Filozofizm, liberalizm, socjalizm, anarchizm, nie mówiąc już o doktrynach pośrednich, są prawymi następcami królewskiego

absolutyzmu. Ale jak on, zawodzą obietnice, choroba będzie trwała tak długo, jak długo losy narodów chrześcijańskich będą w rękach nie dbającej o zasady chrześcijańskie polityki. A Kościół katolicki, trwając u stóp Krzyża, czeka spokojnie aż rewolucye skończą wychowanie ludzkości.

WYKŁAD V.

Kościół i Odrodzenie.

Opowiadać wam dzisiaj będę o odrodzeniu, które jest bez zaprzeczenia jednym z największych wydarzeń w historii ludzkości. Zauważmy najpierw, że wyraz odrodzenie jest bardzo źle wybrany na oznaczenie tego szerokiego umysłowego ruchu w XV i XVI w. To, co się wtedy stało, było raczej rozkwitem, niż odrodzeniem. Zwracam waszą uwagę na ten punkt ważny. Nie wolno sądzić z niektórymi, że ten okres przedstawia nagle odrodzenie się życia umysłowego po długich wiekach ciemnoty. Nie, w historii, jak w naturze, niema skutków bez przyczyn, z niczego nic. Przeciwnie wszystko się tam trzyma i wywołuje skutki; jedyne zjawisko, co stanowi wyjątek od tego prawa, to chrześcijaństwo, bo też nie jest ludzkiego pochodzenia.

Ruch, który badamy, jest ostatecznie tylko naturalnem, zgodnem z prawami nabytej szeb-

kości wzmożeniem się postępowego i nieprzerwanego rozwoju społeczeństwa średniowiecza takiego, jakiem je widzimy w ciągu wieków aż do początku naszych czasów. Geniusz nowożytny, powstały w tem społeczeństwie, rósł z niem w ciągu pracowitych i płodnych wieków jego dzieciństwa a teraz doszedłszy do swej wiosny wylewa się działalnością, jako kwiat rozkwitły, puszczając naraz w ruch wszystkie bogactwa wspaniałej żywotności.

Taki sposób pojmowania odrodzenia jest zgodny z prawami natury i z doświadczeniem historycznem. „Wszyscy ludzie, mówi Pascal, muszą być uważani jako jeden człowiek, który trwa zawsze i uczy się ciągle“. To się sprawdza przedewszystkiem w społeczeństwie nowożytnem. Od Karola W. aż do XVII w. nie przestało ono rozwijać nabytych wiadomości i powiększać umysłowego kapitału. Pewnego dnia ujrzało swą zasobność, nie mogąc określić ściśle chwili, kiedy swą biedę zamieniło na bogactwo. Badanie tego umysłowego postępu byłoby nader ciekawe. Widzianoby kolejno, schodząc z biegiem lat, odrodzenie literackie pod Karolem W., wytworzenie się języków nowożytnych, ich postęp równoległy z językiem uczonych, powstanie poezyi ludowej i jej wielkich epei, ukazanie się poezyi miłosnej i rycerskiej, trubadurów i minnesaengerów, teatr z tak bardzo oryginalnymi scenami, wielkie filozoficzne i teologiczne dysputy XII w., narodzenie nauki ekspery-

mentalnej z Rogerem Baconem, szeroki ruch umysłowy, stworzony przez pochody krzyżowe, opracowywanie encyklopedyi, gdzie geniusze jak Tomasz z Akwinu i Albert W., lub kompilatorzy, jak Wincenty z Beauvais, przedstawiali wiedzę swego czasu, urok sztuk plastycznych, co całą Europę pokrywała niezrównanymi nigdy pomnikami; potem wielkie podróże eksploatacyjne, co od XIV w., łamią koło dotychczasowe poznania, by jego horyzont ogromnie rozszerzyć; potem wynalazki, któremi rodzaj ludzi przyśpiesza postęp i czyni możliwymi nowe postępy.

Kilka przykładów lepiej mają myśl wyjaśni. Krzysztof Kolumb, odkrywający Indye Zachodnie i Vasca de Gama — Indye Wschodnie nie nie byli znakomitymi wynalazcami, którzy, ukazując się jak meteory, ciągną za sobą ludzkość w dziedzinie, aż dotąd nietknięte. Nie, oni byli dziedzicami tych nieustraszonych podróżników portugalskich, co już więcej, niż od wieku, dzięki szeregowi coraz dalszych podróży, zbadali całe zachodnie pobraże Afryki aż do granic Kongo. Ich następcom pozostawało tylko dołożyć rękę do dokończenia dzieła i zabrać całą chwałę dla siebie. Podobnie, gdy Guttenberg wynalazł sztukę pomnażania liczby książek, zawierających to, co najlepszego miał geniusz ludzki, właściwi, zastosował tylko w sposób genialny ideę tych mnichów, którzy na wieki przed nim poświęcili całe życie na przepisywanie

manuskryptów, „kłójąc dyabła tyłu cięciami, ile znaków rzucili na papier“ i był bezpośrednim kontynuatorem, intelektualnym dziedzicem, jeśli tak rzec wolno, owych Braci pióra, którzy wynaleźli rozwiązanie tego samego problemu w ten sposób, iż z siebie uczynili niejako żyjące maszyny typograficzne.

Łatwo by było ciągnąć dalej ten przegląd, ale muszę się ograniczyć i stwierdzić, że wszędzie widzimy obfite owocowanie nagromadzonych kapitałów, powiększenie ogromne, acz naturalne i w pewnej chwili nieuniknione społecznych bogactw. P e n d a n t do tego umysłowego zjawiska XIII w. znajdziecie w zjawisku ekonomicznem na początku naszego stulecia kiedy to maszyny pomnożyły do nieskończoności wytwórczość i rzuciły na wszystkie rynki dla użytku wszystkich niezliczoną liczbę przemysłowych produktów. Ale jak wynalezienie maszyn było możliwe dopiero po dokonaniu licznych przez nauki przyrodzone od początku XVI w. zdobyczy, tak też te zdobycze były przygotowane i opracowane przez poważne i stałe wysiłki pokoleń średniowiecznych. Tamtoczesne życie umysłowe świata jest niejako szczytem drabiny, której każdy szczebel zajmuje osobne pokolenie całego szeregu niezliczonych a cierpliwych i bezinteresownych wysiłków; one przedstawiają kolejno następstwo przeszłych pokoleń.

Tem jest Odrodzenie. Z pobłażaniem uśmiechnijcie się, gdy wam w książkach podawać będą za przyczynę tego wielkiego zjawiska to, że wypędzeni ze Wschodu wskutek najścia tureckiego profesorowie greki przynieśli byli na zemszały Zachód literackie skarby starożytności. Myśmy te skarby już posiadali, a wzięliśmy z nich wtedy dopiero, gdyśmy dzięki naszej własnej pracy stali się do tego zdolni; one mogły być jedynie dodatkiem do naszego bogactwa i tem rzeczywiście były. Wznowienie starożytnych pism na Zachodzie nie było początkiem odrodzenia, jeno jednym z jego skutków.

Lecz wszelkie bogactwo, materialne czy umysłowe, grozi niebezpieczeństwem. Pierwsze brudzi serce rozpustą, drugie ducha pychą nadyma. Zdaje się, że te surowe słowa Ewangelii: biada wam, bogacze! odnoszą się nietylko do tych, których gniecie mieszek złota, ale i do tych, co upadają pod ciężarem wiedzy. Nie podobna, by jedni i drudzy, jeśli nie są ubodzy duchem, t. j. jeśli temi bogactwy nie pełnią służby dla wyższych celów miłości, by weszli do królestwa Bożego. Jestem przekonany, że Zbawiciel tym przedewszystkiem, którzy dosięgli szczytów umysłowego życia, chciał dać naukę, gdy biorąc dziecię do środka uczniów, oświadczył, iż niebo jest zamknięte dla tych, co nie są podobni do tego maleństwa.

Otóż wielu ludzi z tego okresu wpadło w to niebezpieczeństwo, tkwiące w samym bo-

gactwie a polegające na tem, że się je dla niego samego miłuje. Nie będę mówił o tych, co się przywiązali do bogactw materialnych i rozkoszy, które one dają. Rozkoszniki nie znaczą nic w historii, nie sprawują żadnej społecznej funkcji i przedstawiają w dziejach ludzkości element jedynie negatywny. Musimy atoli się przyrzec zachowaniu tych, którychby nowożytny żargon nazwał inteligentami, to jest tych, którzy sobie przyswoili wszystką kulturę swego czasu i wpływali na współczesne sobie umysły. Na wielu z nich życie umysłowe wywarło taki skutek, jaki sprawia napitek silny: upiło ich. Nie chcieli znać żadnej miary używania tych rozkoszy. Wzgardzili prawem moralnem, krępującem to użycie. Uważali się jedynie za humanistów, nie troszczyli się o to, czy są jeszcze chrześcijanami. Jak legiści z XII, oddali się duszą i ciałem kultowi starożytności. Byli poganami, ponieważ poganami byli starożytni, i stali się, jak energicznie mówi Pismo, podobni do swych bałwanów.

Czyż więc nie można badać starożytności bez tego, by się nie poddać zwycięskiemu urokowi i by się nie stać poganinem w sercu i poglądach? Można! dość wspomnieć odrodzenie za Karolingów duchem tak chrześcijańskie mimo przeważającego miejsca, które dawało pismom starożytnym, albo te potężne geniusze z XIII w., co, acz całkowicie wychowane na starożytności, wzięły z niej tylko składniki do-

bre i zachowały świadomość swej nad nią wyższości. Św. Tomasz z Akwinu nie poddał współczesnej sobie myśli w niewolę Arystotelesowi, ale raczej jego użył do uzasadnienia prawd chrześcijańskich. Dante Alighieri miał kult dla Wergila, w którym sobie uosobił ludzką wiedzę, ale więcej niż jego miłował Beatrice, jako symbol wiedzy boskiej. Te wielkie wzory mogliby sobie wspomnieć ludzie z XV i XVI w., by ich ducha nabrać. I w istocie wielu wśród tamtoczesnych humanistów nie straciło chrześcijaństwa dla pism starożytnych, że wspomnę Rudolfa Agrikolę, Wiktoryna de Feltrę, Aleandra Vegio, Aleksandra Hegiusa, Tomasza Morusa, kardynała Fishera, Ludwika Vivèsę, naszego znakomitego Cleynaertsa i in.

Lecz trzeba wyznać, że nie wszyscy posiadali jednakowy stopień cnoty lub zdrowia umysłowego. Wielu poddało się trującemu zapachowi, wychodzącemu z grobu starożytności. Nie wzruszyło się gniewem na potępione przez moralność chrześcijańską grzechy, skoro je ujrano uidealizowane i urokiem przez poezję owiane. Wielu przyswoiło sobie bezwzględna wolność myśli starożytnej, która, nie będąc ograniczoną żadnym węzłem prawdy, dowoli się włóczyła po nieskończonych dziedzinach filozoficznej spekulacji. Często jednak pod jej wpływem czuli, że dali się pociągnąć poza pewne granice, które chrześcijańskie wychowanie postawiło woli i umysłowi. Ale wtedy obniżali swój stan

moralny do poziomu starożytności, porzucali prawdy, które im się zdały być więzami a które były istotnie podporami.

Było to nieuniknione. Nadzieja pozostania czystym w obcowaniu z tak duszącymi pojęciami jest podobna do uroszczenia niektórych młodzieńców naszych czasów, co pod pretekstem studyów literackich, otrzymawszy pozwolenie zbyt powolnych spowiedników na czytanie wszystkich produkcji współczesnych pornografów, mniemają, że będą mogli wyjść z tego obcowania z wyobraźnią niezabrudzoną, z niesfałszowanym poczuciem moralnym, z wolą zawsze prawą!

Tak więc namiętne studium Greków i Rzymian sprowadziło na różnych ich welbicieli różne skutki. Sprobujmy je najpierw rozklasyfikować a później ocenić.

Na ogół w XVII w. wszyscy, zarówno najlepsi chrześcijanie, jak i fanatyczni poganie, ulegli z dziwną łatwością literackiemu czarowi starożytności. Można powiedzieć, że wpływ pogański doszedł do najwyższego stopnia. Ustawiło się powszechnie przekonanie, że starożytni stworzyli niezrównane nigdy typy piękna i że nam, potomnym, nie pozostaje nic innego, jak tylko wiecznie je naśladować, jeśli sami chcemy zrealizować ideał estetyczny. Nikt nie wątpił, że starożytni stworzyli rodzaj odlewni, w które trzeba nam pod karą sfabrykowania barbarzyńskich i monstualnych dzieł wniesć wtwory

naszego własnego geniuszu. Najwyższym, jakiego można od nas żądać wysiłkiem, może być to, aby naśladowaniem osiągnąć wysokości tych dzieł, które starożytni wywiedli ze swej wyobraźni. Na zawsze, tak wypisano w księdze naszych przeznaczeń, rola twórców pozostała przy starożytności i wiekom nowożytnym dostało się w udziale prawo naśladowania.

Tak dziwaczne pojęcie estetyki można wytłumaczyć w znacznej części nieuctwem tych, którzy ją stwarzali. Już od dawna nie znano wieków średnich i na długo miano ich nie znać wcale. Bardzo charakterystycznymi pod tym względem są sądy Boileau w jego *Art poétique*: jest on przekonany i wyznaje to z podziwienia godną szczerością, że nasi dziadowie nie znali żadnego rodzaju poezji, że nie znali wcale rytmu i że teatr był im nieznaną przyjemnością. Wszystko to wyda się monstrualne temu, kto wie, że trubadurów i minne-saengerów średniowieczni są ojcami współczesnej liryki, że wszystkie epepeje: od niezrównanych pieśni Rolanda aż do powieści Renarda, idąc przez poemat o Cydzie i Pieśni Niebelungów, z tego pochodzą okresu, że wreszcie teatr nigdy się nie cieszył taką popularnością, ani miał takiego społecznego wpływu, jak w średnich wiekach. To też warto posłuchać jak za naszej pamięci Lithé uczy poczciwego Mikołaja Despreaux i podsuwa mu myśl, że wszystkie te opowiadania nie są godne parnaskiego prawodawcy.

Ale oprócz ignorancyi jest jeszcze coś więcej w literackich poglądach ludzi XVI i XVII w. Jest nadto oszołomienie. Niestety, był to czas, kiedy poczciwy ojciec Maffei prosił o pozwolenie odmawiania brewiarza po grecku, żeby sobie nie musiał psuć stylu złą łaciną kościelną. Cóż tu dopiero mówić o uroszczeniach w dziełach sztuki plastycznej!

Pod cieniem najwspanialszych naszych katedr gotyckich żyli i umierali ludzie, którzy wykształwiali te czcigodne pomniki, by je podobnymi uczynić do wyjałowiałego i zimnego piękna świątyń greckich. Mieli przed oczyma wesoły majestat portyków z Reims, w Paryżu, w Amiens, ale nim gardzili. Najoświecieńszy i najsympatyczniejszy ze wszystkich pisarzy XVII w., zacny nasz Fenelon wypisał potępienie sztuki naszych ojców, potępienie, którego każdy wiersz i słowo są obelgami dla prawdy, dobrego smaku i estetycznego sądu. Tak dziwne osądzenie mógł wydać jedynie dla tego, że był z góry przekonany, iż piękno jest wyłączną własnością sztuki starożytnej lub dzieł jej naśladowców. Bez względu wyższość artystyczna starożytnych była aksjomatem tak pewnym, jak dogmaty wiary chrześcijańskiej.

Napróżnobyście chcieli pouczyć tak myślących ludzi, że czynią ujmę chrześcijaństwu, przedstawiając je, jako niezdolne do realizowania ideału piękna. Oni wam odpowiedzą z Boileau: „Straszne tajemnice religii nie nadają się

do radosnych ozdób“. Jeśli się jeszcze upierać będziecie, oświadczam wam, że niemasz nic wspólnego między religią i estetyką, prawie coś tak jak dzisiaj w naszym kraju, mówią nam z prawej strony, że niema nic wspólnego między religią i sprawami społecznymi, a z lewej — między religią i polityką.

Któż tego nie widzi, że było to, nawet u najlepszych, osłabienie wiary chrześcijańskiej! Boć oni to wyjmowali z pod wpływu religii całą wielką dziedzinę intelektualną i sami swego ducha dzielili na dwa oddziały, z których jeden był przeznaczony na życie artystyczne i poezję, a drugi obejmował religię. Oni nie wiedzieli albo zapomnieli, że chrystyanizm jest jak słońce, co musi wszystko przeniknąć, by wszystko ożywić, że jest estetyką chrześcijańska, jak jest polityka chrześcijańska i ekonomia chrześcijańska, że piękno, podobnie jak prawda i dobro, jest jednym z przymiotów Najwyższego Bytu, Boga, i że zarówno w sztuce, jako i w naturze, to jest tylko piękne, co nosi na sobie odbicie niestworzonego Piękna. Zdaje się, że o tych prawdach, stanowiących integralną część nauki chrześcijańskiej, nikt wtedy nie myślał. Trzeba dopiero było *G é n i e d u c h r i s t i a n i s m e* by sobie przypomniano, że jednak religia katolicka ma nieco piękna w sobie.

Wobec takiego kultu dla pism starożytnych, jak się można było zachować od podobnego zachwyty dla cywilizacji, której wyra-

zem były owe pisma? Czyż ta zwodnicza wymowa, ten kwiat poezji, co upiększał wszystkie wytwory starożytnego geniuszu, nie sprawiał, że opiewany świat ukazywał się świetlanym i prawie boskim? Widząc go w aureoli, ludzie z odrodzenia wyobrażali sobie starożytność taką, jaka nigdy nie istniała, starożytność, gdzie wszystko było piękne i wielkie, świetlane, gdzie szlachetność woli szła w parze z głębokością umysłu, gdzie rzeczy ziemskie przyjmowały nadnaturalny wygląd, gdzie historyczni bohaterowie stawali się półbogami, skąd wreszcie wypływała wizja kroku mędrców, przechadzających się z uczniami w cieniu ogrodu Akademosa i rozprawiających o istnieniu Boga i nieśmiertelności duszy. Tak to wyobrażnia chrześcijańska ludzi odrodzenia, rzucając własny spektr na ciemności, zasłaniające przeszłość, podziwiała siebie samą w świecie, który był jedynie jej odbiciem.

Może kto powie, że niebyło w tem wielkiego zła, że wszystko razem wzięwszy, jesteśmy tutaj wobec jednego z tych wiecznych złudzeń optycznych, które się natrzęsają z człowieka. Jabym tego nie powiedział. Boć stwierdzam, że ci wszyscy, którzy wyznawali dla starożytnych ten entuzjastyczny kult, byli w tym samym stopniu niesprawiedliwi wobec społeczeństwa chrześcijańskiego i chrystyanizmu. Jeśli jest prawdą, że najszlachetniejsi przedstawiciele rodzaju ludzkiego znajdują się wśród pogan, jeśli jest prawdą, co powiedział Thiers w urzędowym sprawozda-

niu, „że starożytność jest najpiękniejszą rzeczą na świecie,“ to trzeba być logicznym i powiedzieć z poetą, iż „nie było trzeba, by Marya powiła“¹⁾

Innemi słowy, chrystyanizm nie tylko jest nieużyteczny, ale, co więcej, on jest odpowiedzialny za upadek ludzkości, ponieważ dopiero od jego powstania, ludzkość straciła to, co stanowi piętno prawdziwego geniuszu. Chrześcijaństwo było tylko prózną parantezą: zamykając ją i idąc czerpać wprost ze źródeł starożytnych, duch ludzki odnajdzie sam siebie i podejmie przetrwany bieg swych sławnych dziejów.

Konkluzya to była zbyt logiczna, by w odpowiedniej chwili nie znaleźli się ludzie, którzyby mieli odwagę ją wyciągnąć. W przeciwieństwie do tych naiwnych, którzy chcieli uchrześcijanić starożytność, ci zechcą spoganić świat nowożytny. Doświadczenie zaczęli od siebie, ze starożytności wzięli tok swej myśli i rodzaj swego życia. Wyrzuciwszy z umysłu jarzmo dogmatu i ze swej woli ciężar prawa moralnego, zamierzali wziąć sobie za przewodnika tę potężną władzę myślenia i chcenia, właściwą człowiekowi i przez wszystkie czasy opatrnościowemi prawami kierującą działaniem. Pozbyli się dobrowolnie radości serca, podwójnej wyższości, nadanej im przez chrześcijaństwo, i zmusili się do zstąpienia na poziom pogań-

skiego naturalizmu, gdzie łaski nie masz. Zapomnieli o początku człowieka, zapomnieli zarazem o celu ostatecznym; opuścili tę wazką drogę, którą wedle woli Mistrza iść mamy do życia wiecznego, a weszli na szeroką drogę łatwego życia, na drogę, co nie zna ani radości dobrowolnie przyjętego poświęcenia się, ani wesela po zniesieniu z poddaniem się bólu, ani podniosłych rozkoszy miłości, która wznosi człowieka aż do Boga. Dla nich, jako i dla starożytnych całe życie ma się obracać koło tych dwóch rzeczy: rozkosz i chwała. One też były ideałem ich życia.

O pierwszym nie będę mówił. Stwierdzą jeno, że nikt z ludzi epoki starożytnej nie był wolnym od tej plamy, że najslawniejsi nawet, zwyciężywszy swe zmysły wtedy lub owedy, nie dość je opanowali, by już nie upaść. Duszy prawdziwie wolnej od upadku rozkoszy nie było u pogan, a jeśliby nawet była jaka, to wyjątek potwierdzałby regułę.

Co do miłości chwały, to jest ona bez wątpienia uczuciem wznioślejszem. Nie raz jeden znalazła w starożytności wyraz szlachetny i podziwu godny. Nie znano piękniejszego nad ten w ustach umierającego Epaminondasa, który powiedział do smucących się z tego powodu, że nie zostawił dzieci, którzyby odziedziczyli jego sławę: „Przyjaciele, umieram wesoly, zostawiam dwie nieśmiertelne córki Leuktry i Mantinee“. Wielkie to i mocne słowo, godne bohatera! Wsze-

¹⁾ Dante, *Czyszczenie* III, 59.

lako jest inne, piękniejsze: *D a m i h i n e s c i r i*, daj mi Panie łaskę, bym został nieznanym, Tak mówił autor najpiękniejszej książki, jaka wyszła z rąk ludzkich, bo Ewangelia nie jest ludzką. Przez pięć wieków spełnia się życzenie autora *N a ś l a d o w a n i a*: pozostaje ukryty poza swem arcydziełem, większy w tem unicestwieniu swego imienia, aniżeli bohater tebański, wysławiający swoje. Nie należy gardzić miłością sławy, jeśli się staje bodźcem do spełniania wielkich czynów; wszelako wyznać trzeba, że chrześcijańska pokora dokonywa dzieł wznioślejszych, acz mniej kosztownych dla społeczeństwa. Wywrócić role tych dwóch pobudek i wynieść tamtę nad tą, byłoby to uczynić krok wstecz na drodze cywilizacyjnej.

Gdybyż przynajmniej, obudzając na nowo namiętność, którą starożytność miała ku przekazywaniu swego imienia, byli ją pojęli humaniści z odrodzenia na sposób wielkiego Epaminondasa, a nie na marny ludzi miernych. Bo, zaiste, ci naśladowcy są po największej części miernotami, marzącymi o nieśmiertelności, już to za dwuwiersz gładko złożony, już to za nowe wyrażenie, już to za przyjemne à propos. Przeczytajcie w *F e m m e s S a v a n t e s* Molièra scenę między Trissotinem i Vadiusem, a usłyszycie, jak przemawiają prawie wszyscy pogańscy lub na pół spoganieli humaniści Renesansu. Ich książki, listy, rozmowy, są przepelnione dziecinną zarozumiałością, podejrzliwością bez granic,

niemożliwemi uprzedzeniami. Jeśli będziecie mieli to nieszczęście, że się bez uszanowania dotkniecie promienia ich aureoli, to natychmiast ci półbogowie obsypią was grubijańskimi wymyślaniami, rzucają na wasze głowy przezwiska, zaczerpnięte ze słownika przekupek; zapomniawszy o swej nieśmiertelności, mówić będą postępować jak ulicznicy! Rzecz to tembardziej godna litości, że mimo uroszczeń do sławy większość tych wielkich ludzi to miernoty. Nasz niby współpatriota Erazm Roterдамczyk jest najślawniejszym i zresztą najbardziej szacownym z całej zgrai tych duchów. Za swych czasów był przyrównany bogom, święcie wierzył w siebie, jako w kierowniczego geniusza, chociaż w rzeczywistości był sobie zwyczajnym człowiekiem szkoły, naszpikowanym łaciną i greką, skądinąd dobrze przetrawioną.

Od myślicieli zwróćmy się do działaczy. Przyswoili oni sobie poganizm z zadziwiającą śmiałością. Cały legion ludzi w tej epoce zerwał całkowicie z ideą chrześcijańską i zastosował się całkowicie do pogańskiej etyki przyjemności i powodzenia. Znajdujemy tych ludzi we wszystkich sferach społecznych, nie brak ich wśród duchowieństwa i, o boleści, nawet na tronie Piotrowym ich widać. Aleksander VI jest najsmutniejszym wcieleniem pogaństwa pod tyarą: spokojny i uśmiechnięty wśród zalewu występków, okazuje z zadziwiającą nieświadomością swe pożądlivości. Nawet w starości cią-

gnie przed oczami osłupiałego świata karnawał życia pozbawionego moralnego zmysłu.

Aleksander VI jest jeno typem rozkosznika. Jego syn Cezar Borgia przedstawia najdoskonalszy typ pogańskiego polityka. Młody, piękny, śmiały, rozumny, rozkochany w sztukach, wzór elegancyi, jest mimo swych zalet zewnętrznych najokrutniejszym, najbardziej przewrotnym, najmniej mającym skrupułów ze wszystkich ludzi. Idealem jego życia to zdobycie jak najwięcej władzy i możebnej sławy. Zdaje się ani na chwilę nie wątpić, że ten ideał można osiągnąć, nie oglądając się wcale na jakiegokolwiek prawo moralne. Nic wspólnego między polityką a religią! Polityka jest sztuką, którą się uprawia dla niej samej i która zna jedno tylko prawo: prawo powodzenia. Tak Cezara Borgia uczył jego mistrz, najgenialniejszy i najokrutniejszy ze wszystkich odrodzenia przedstawicieli, myśliciel, którego imię dano polityce oszukaństwa i niemoralności, polityce, nie uważającej nawet za stosowne pamiętać, o istnieniu chrześcijaństwa—Mikołaj Machiawel.

Trudno znaleźć coś bardziej wymownego nad istniejący dziś jeszcze w Galeryi Zamku Urzędów we Florencyi portret tego geniusza bez serca i wnętrzości. Patrzenie na ten nad miarę wyciągnięty profil, na tę okrutną twarz lisa lub tchórza, na której się przebija, i zmysłowa nizina instynktów, i zadziwiająca bystrość umysłu — a drzenie was przejmie i szybko się od-

wrócicie, zatrzymując wrażenie złości i chłodu. Sam Machiawel zostawił podobny portret samego siebie w swych dziełach, zwłaszcza w słynnym traktacie o księciu, który to traktat był przez długie wieki podręcznikiem dla absolutnych monarchów, nawet dla tych, którzy, jak Fryderyk II pruski, pisali antymachiawelów¹⁾. Niema potrzeby wspominać, że ten Machiawel nie miał ani obyczajów ani wiary, że ten niemal demoniczny pogardnik Kościoła i papieżstwa wiodł prywatne życie, będące jedną sromotą.

Wymieniłem niewielką jeno liczbę charakterystycznych typów. Atoli żeby podać wszystkie rodzaje sławnych pogan tego czasu, należałoby wspomnieć jeszcze innych, począwszy od tego Laurentiusza Valli, który wyzywająco głosił w swych pismach zasady najpodlejszego epikureizmu, aż do Pomponatiusa, który się nie bał zaprzeczyć nieśmiertelności duszy i co skończył samobójstwem. By mieć pojęcie o moralnej i intelektualnej atmosferze tamtoczesnej, trzeba by przypomnieć przynajmniej wstrętne Aretina, coś w rodzaju Leona Taksila z XVII w., co posiadał oprócz ogromnej fortuny talent oraz co dostawał pieniądze od królów odczu-

¹⁾ Karol V był jednym z czytelników Machiawela. Zdanie niezbyt wytworne, które wypowiedział, znosząc obłączenie Metz: *La fortune est une femme, elle n'aime pas les vieillards*, powstało pod wpływem księcia Machiawelowego, r. XXV, in fine.

wających na sobie moc jego pamfleciarskiego pióra. Wszyscy ci ludzie dzięki talentowi i śmiałości, dzięki swej liczbie i mądrym trzymaniu się razem czynią wrażenie, jakoby oni jedni byli prawdziwymi przedstawicielami swego czasu, prawowitym wyrazem ducha renesansowego. W istocie, gdyby ruch umysłowy, noszący to miano, trzeba było sądzić wedle tych ludzi, którzy go sobie przyswoili, to pewna, że odrodzenie byłoby powrotem do pogańskich poglądów i dążeń. My przeczymy temu wnioskowi, ponieważ odrzucamy przesłanki, lecz jakże się łatwo było omylić!

I wielu się omyliło od pierwszych dni. Na widok wstrętnej bezwstydnosci poglądów, połączonej zbyt często z bezwstydnością obyczajów, wiele szczerych umysłów wzdrygnęło się i przypisało samemu umysłowemu ruchowi zgorzenia, które były tylko jego nadużyciem. Oni rzucali potępienie na sztukę, na klasyków, na naukę, jako wprost odpowiedzialnych za moralny i religijny przelom tamtoczesny. Nabrali wstrętu do kultury umysłowej, widząc jakie sprowadza owoce i zadecydowali, że należy się trzymać jedynie nauki boskiej. Jest to, niestety, dziś jak i wtedy, mowa tych pocziwców, którzy mają więcej dobrej woli aniżeli bystrości i na których się spełnia to, co podaje Ewangelia, że synowie ciemności są roztropniejsi, niż synowie światła. Pokusa do takiego myślenia jest tak wielka, że dla niektórych

jest wprost niemożliwa do odrzucenia. Jakże to łatwo i wygodnie umysłem o wązkim horyzoncie potępić w czambuł cały postęp umysłowy i społeczny dla tego, że daje sposobność do nadużyć.

Pomińmy już to, że ta ciasnota pojęć zwykle przywdziewa na się sztandar religijnego ducha, przez co mu szkodzi, bo go przedstawia, jakoby był wrogiem wszelkiego postępu i jakoby nie mógł się pogodzić z rozwojem cywilizacji. Takie usposobienie to nie szeroki i ożywiający duch chrześcijaństwa, ale wstętna natchnienie niskiego fanatyzmu, który we wszystkich epokach usprawiedliwia jedynie stanowisko konserwatystów. „Jeśli te książki zawierają to samo, co Koran są niepotrzebne; jeśli co innego, są szkodliwe. Tak czy owak trzeba je spalić“. To mowa godna kalifa Omara, nakazującego spalić bibliotekę Aleksandryjską. Niestety, zbyt często wygłaszali ją gorliwi chrześcijanie, nie przypuszczając, że są takimi muzułmanami! Tak mówił w 1507 r. Adryan z Korneto, usiłujący, wprawdzie innemi słowy, dowieść, że cała wiedza zawiera się w Piśmie i że szukanie jej gdzieindziej jest waryactwem.

Takiem samem było stanowisko rygorystów moralistów. Widząc w zepsuciu swoich czasów skutek zbytku (a jest to prawda), wyobrazili sobie, że można świat naprawić, skłoniwszy ludzi, w razie potrzeby nawet siłą, do zachowywa-

nia prostoty obyczajów i rad ewangelicznych. Jakież to piękne marzenie dla duchów egzaltowanych i chimerycznych, którzy mniemają, że się obejdą bez wolnej woli człowieka w zaprowadzeniu Królestwa bożego—uczynić ze świata wielki klasztor, gdzieby na każdego mieszkańca nałożono surową obserwację reguły zakonnej, gdzieby spalono na ogromnem auto-da-fé, dzisiaj wszystkie wytwory swawolnego i psującego zbytku, jutro tych, coby się nie chcieli wyrzec jego kultu! Nie raz jeden marzono o tem w owych na pół demokratycznych, na pół teokratycznych republikach, stworzonych przez purytanów w koloniach amerykańskich, przez Kalwina w Genewie. Podobny charakter miało przedsięwzięcie owego mnicha o sercu szlachetnem i niepomiarkowanym umyśle, Hieronima Sawanaroli. Ten nieszczęśliwy reformator, któremu nie można odmówić szlachetności zamiarów i szczerzej gorliwości dla katolickiej wiary, był dyktatorem Florencyi dość długo, by się przekonać, że urzeczywistnił swój ideał, i by wywołać przeciw sobie wściekłą opozycję, co go na stos zawiodła.

Sawanarola nie zrozumiał prawa wzrostu, rządzącego zarówno ludzkością, jak i naturą, a niepozwalającego na to, by stare społeczeństwo, jak i człowiek, mieli te same obyczaje i ten sam rodzaj życia, co w swoich latach dziecinnych. Jak jednostka, społeczeństwo przechodzi liczne stadya, które, pozostawiając w ca-

łości zasadnicze składniki pierwotne, zmieniają znacznie objawy. W miarę rozwoju utracą cechy młodości, by przyjąć cechy lat dojrzałych, traci zapamiętałe, nabiera doświadczenia, korzysta owocnie z poprzedniej pracy, rozszerza swe wiadomości, łagodzi stosunki między ludźmi, bada samo siebie i poddaje swoją działalność pod nadzór moralisty i uczonego. Rozwijając się w ten sposób, zgodny ze swą naturą, społeczeństwo nie staje w sprzeczności z chrystyanizmem, albowiem Jezus Chrystus nie potępia żadnej zdolności ludzkiej ani żąda od cywilizacji ofiary z jakiegokolwiek zdobyczy, o ile te prace i wypływające z nich przyjemności pozostają podporządkowane pod wyższe prawo miłości. Przeto gdy słusznie wzruszony widokiem nędz swego czasu, Sawanarola chciał im zaradzić użyciem środków, na które się wzdraga natura i które zdają się być gorsze, niż zło samo, to działał na ślepo i wywołał okropną reakcję. Jej pierwszą a najsympatyczniejszą ofiarą był on sam.

Kościół katolicki nie wszedł na tę drogę, gdzie go chciał wciągnąć Sawanarola. Wobec wielkiego ruchu renesansowego, Kościół przypomina sobie wieczne swe zadanie, przywołuje sobie na pamięć, że jest nietylko religią ludów — dzieci i społeczeństw biednych, ale że ma także wieść do Boga bogate narody i świetne cywilizacje. Daleki od przeklinania bogactwa nauk i obfitości sztuk pięknych, jedy-

nie dla tego, iż były powodem złego użycia, błogosławi je i chce wykorzystać dla chwały bożej i zbawienia dusz. I z tą szerokością poglądów, i z tą śmiałością ruchów, któreśmy już spostrzegli w poprzednich kryzysach, Kościół miasto się opierać przyszłości i być przez nią zgniecionym, lub miasto zdaleka się trzymać a przez to pozostać w tyle, bierze rozsądnie w swe ręce sztandar umysłowego postępu i staje na czele ruchu, który poniesie ludzkość do bezkresnych przeznaczeń.

Nie twierdzę, by to stanowisko Kościoła było zawsze wynikiem formalnego zastanowienia się, ani że przywódcy hierarchii mieli zawsze świadomość wielkiego na przyszłość znaczenia tego stanowiska, które zajmą. Czyż bowiem oni sami jako ludzie, nie ulegali czarowi literackiego i artystycznego życia i czy im dla okazania, że Kościół się tem wszystkim interesuje, wypadalo czynić cobyż innego, jak dać się porwać bez oporu pokusie, która ich otaczała? Czyż między nimi nie było takich, którzy tak się upili winem odrodzenia, iż zapomnieli, że są kapłanami, biskupami albo kardynałami a pamiętali jeno o tem, że są humanistami? Ale dla tego właśnie, że prąd miał tak wielkie natężenie, trzeba się dziwić, iż Kościół, zamiast się mu dać pociągnąć, zamierzył nim kierować, i iż mu się to w znacznej mierze udało. Kościół nie głosił anatemy na ruch nowy, jak tego chcieli lekkomyślni, ani poświęcił prawdzi-

wych wymagań chrześcijańskiego ducha, jak to uczynili humaniści, lecz przedsięwziął dzieło stworzenia — w całej sile tego słowa — odrodzenia katolickiego, i to mu się udało. Wymienić imiona Piusa II, Mikołaja V, Juliusza II i Leona X to przywołać na pamięć najpotężniejszą i najskuteczniejszą opiekę, jaką życie umysłowe rodzaju ludzkiego otrzymało kiedykolwiek od najwyższej władzy.

Nie chodzi o to, by szczegółowo opowiedzieć historię tego niezrównanego mecenasostwa, ani by ukazywać papieży, otoczonych sławną falangą artystów, na których czele świecili bez rywali imiona Brabanta, Michała-Anioła i boskiego Rafaela. Lecz czyż przesadzę, gdy powiem, że żaden wiek nie widział i być może żaden nie zobaczy, by w nim stworzono taką wielość dzieł, jak Tum św. Piotra, Kaplica Sykstyńska i Loggia Watykańskie. Jeżeli Roma nie jest dzisiaj tem, czem są: Jeruzalem, Antyochia, Ateny, Bagdad i Kordu, tj. grobem w ruinach na miejscu zniszczonej na zawsze wielkości, jeżeli Miasto wieczne świeci zawsze wobec całego świata niezrównanym blaskiem, który zawdzięcza swym świątyniom, muzeom, bibliotekom; jeżeli cały świat nie przestaje tam pielgrzymować, jak do żyjącego centrum cywilizacji, to Rzym to zawdzięcza papieżom z odrodzenia; boć przecież nie ruiny kilku pomników starożytnych dają mu w umyśle wszystkich taką przewagę nad Atenami, posiadającymi

Panteon, lub nad Trewirem, chlubiącym się z Porta Nigra. Papieże uczynili z Wiecznego miasta apologię pisaną pod ich dyktandem rękami największych artystów miasta. Ona mówić będzie nadludzką wymową z wieku na wieki

Ale tutaj, jak zawsze Rzym, jest jedynie symbolem samego Kościoła katolickiego. Dzięki papieżom odrodzenia, Kościół nosi odtąd, na czole nową tyrań, przez którą [staje się wzniosłym w oczach nawet tych, którzy pogardzą innemi; mianowicie potrójną koronę nauki, sztuki i poezji. Do swej służby dopuścił te trzy wielkości, najbardziej dumne i wolne ze wszystkiego na świecie; otoczony ich orszakiem posuwa się naprzód w dziejach, rzucając blask chwały. Jak sobie tego życzył umierający Mikołaj V w mowie, która może lepiej, niż jakikolwiek inny dokument, oddaje myśl tego wielkiego papieża i innych jemu podobnych, Kościół opanował wyobraźnię ludzką i dzięki niezrównanemu urokowi swej wielkiej estetyki zniewala do podziwiania siebie.

Czuje się tu dobrze w Rzymie pod wyniosłą Kopułą, która okrywa grób Łowcy ludzi i z której wysocza spadają i okrążają was w wielkich znakach te boskie słowa: „Ty jesteś opoką i na tej opoce zbuduję Kościół mój“. Nikt, mniemam, nie jest zdolny całkowicie się uwolnić od czaru tego miejsca: niemasz chrześcijanina, któryby tam nie czuł, jak mu serce rośnie, niemasz obojętnego, któryby tam nie odnalazł resztek radości i dumy katolickiej, nie masz dyssydenta, któryby

w głębi serca nie doznał melancholijnego żalu za zerwaną jednością starej wiary chrześcijańskiej. A co się tyczy wrogów Kościoła, to choćby najzarliwszą mieli ku niemu nienawiść, choćby pociski ich były straszne, to jednak lepiej, niż gdziekolwiek indziej, czują tutaj obecność Tego, który powiedział: „Grzesznik ujrzy i będzie obrócon ku gniewowi; zgrzytać będzie zębami, trawić się będzie wściekłością, lecz pragnienie grzesznika z nim zginie“.

Jeżeli się nie mylę, to jedynie pod tym kątem trzeba rozważać rolę Kościoła i papieżstwa w czasie tego przełomu dziejowego, który przyzwyczajono się nazywać odrodzeniem. Wiem, że nie wszyscy są tego zdania. Jest dzisiaj wielu ludzi, zwłaszcza wśród najlepszych chrześcijan i tych, co się poświęcili pracy nad przywróceniem katolickiego natchnienia sztuce i poezji, którzy żałują, że Kościół wziął tak wielki udział w dziele odrodzenia. Zdaje się im, że zbyt popierał humanistów i artystów, że wobec nowych idei nie ocalił tradycyjnej sztuki i myśli katolickiej i że bez konieczności poświęcił smakowi dnia elementy żywotności chrześcijańskiej. Jeszcze trochę a dowiedliby, jak pogaństwo wtargnęło do świątyni i jak Kościół Chrystusów stał się niewolnicą świata. Zapewne, jak zaznaczyłem wyżej, nie brak okoliczności, mogących takiemu sądowi nadać pozory prawdy. Zebrawszy to wszystko, co tylko skandalicznego daje kronika XVI w. w Rzymie i gdzieindziej,

zgrupowawszy wszystkie słowa i postęпки ksiąg Kościoła, zostające w oczywistej sprzeczności z prawem Bożem, to łatwo przedstawić obraz, który wywoła obrzydzenie, podobnie jak gdyby się wybrało elementy zdrowe, możnaby było przedstawić obraz społeczeństwa, godnego pierwszych wieków chrześcijaństwa. Ale historia nie zatrzymała się wobec tych wyroków adwokackich.

Prawdą jest to jedynie, że, gdyby Kościół, wobec tak rozległego umysłowego wezbrania, którego opisaliśmy początek i charakter, ograniczył się był do protestu i gdyby reagował tylko w ten sposób, iżby się zawinął w tradycję, jak zwyciężony żołnierz w fałdy swego sztandaru, byłby się skazał na to, że cywilizacja wyprzedziłaby go, byłby stracił wszelką możność zetknięcia się z przyszłością, wszelki wpływ na czoło ludzkości, byłby się stał jedną z owych zamkniętych kaplic, gdzie się zbierają coraz mniej liczni wierni, by płakać na ruinach i złorzeczyć czasowi. Bądźmy mu wdzięczni, że się oparł tej pokusie i że dzięki strategii papieży stanął na wysokości XVI w., by znów mógł zostać na wysokości XX w. i na wysokości wszystkich innych. Istotnem jest to, że, otwierając na oścież swoje sanktuaria nowemu umysłowemu życiu ludzkości, nie poświęcał żadnej części z prawd objawionych, żadnego rozkazania z praw moralnych, żadnego artykułu swego *credo*. Nie ulega wątpliwości, że w pewnych

chwilach musiało być trudnością nie lada to utrzymanie współzrędnego istnienia surowych przepisów praw wiecznych ze śmiałymi rzutami nowożytnego ducha; czasami oko moralisty lub estety może być dotknięte niemile niedoskonale zakrytymi sprzecznościami, jakie przedstawia ta historia połączenia się Kościoła i Odrodzenia. Wszelako nie mniej to jest prawdą, że Kościół XVI w. przekazał nam nienaruszoną ojcowiznę pierwotnego chrześcijaństwa.

W pięknem dziele Pastora Historya papieży znalazłem pierwszy raz opowieść, która, zdaje się, oddaje tę myśl w tak wyraźny sposób, że nią z przyjemnością wieńczę ten wykład.

Jak wiadomo, Juliusz II polecił przebudować kościół św. Piotra na Watykanie Bramantowi, największemu i najśmielszemu architektonicznemu geniuszowi Odrodzenia. Bramant łączył bezgraniczną wiarę w zasady swej sztuki z pogardą przeszłości, z pogardą, którą można zarzucić prawie wszystkim artystom tej epoki. Bramant zaczął od zniszczenia dawnej bazyliki watykańskiej. Groziła ona wprawdzie ruiną, ale artysta czynił dzieło zniszczenia z takim pośpiechem i brakiem uszanowania, że go nie sposób wytłumaczyć. W genialnym rozmachu poszedł jeszcze dalej. Chciał zmienić orientację nowego kościoła, by sprawiał wyższe wrażenie. W tym celu zamierzał przenieść grób, gdzie spoczywały od piętnastu wieków już w nietkniętem ustroniu święte szczątki Księcia

apostolów. Dotąd Juliusz II pozwalał swemu artyście na wszystko, teraz po raz pierwszy oparł się stanowczo. Bramant powtórzył natarcie i podawał powody estetyczne, nawet porządku religijnego, dowodził, że przeniesiony i zharmonizowany z przeniesionym gmachem grób sprawi zbawienniejsze wrażenie na pobożnych wiernych; słowem użył, wszystkich swoich sił z zawziętością i popędlivością, które powinnyby zwyciężyć wszystko. Lecz papież pozostał niewzruszonym. Oświadczył, że za żadną cenę nie pozwoli na tknięcie grobu tego, na którym Jezus Chrystus zbudował swój Kościół powszechny. Trzeba było, by sztuka ugięła się przed Religią. Szczątek Św. Piotra nie wyjęto z krypty, orientacyi też jego Kościoła nie zmieniono

Ta opowieść jest znaczącą. Ona mówi przyjaciółom i wrogom, że Kościół katolicki przystosowuje się do wszelkiego postępu myśli i do wszystkich rodzajów sztuki, ale oparty na skale wiekuistych prawd, nie pozwoli zmienić osi świata, skierowanego przezeń ku Chrystusowi.

WYKŁAD VI.

Kościół i Rewolucya.

Ten, ktoby w dniu zwołania w Wersalu Stanów Jeneralnych 5 maja 1789 r. był powiedział, że za niecałe 5 lat władza królewska będzie usunięta, a król i królowa skazani na śmierć, że delfin zginie po powolnem konaniu w chałupie szewca, że dla szlachetnie urodzonych zostanie jeno wybór między gilotyną i wygnaniem, że religia katolicka zostanie zakazana a córka zatracenia wzniesioną pod mianem Bogini Rozumu na oltarzu w Nôtre-Dame w Paryżu, że między biorącymi udział w procesyi posłami będzie jeden, najśmieszniejszy, najprzewrotniejszy i najbardziej może ograniczony ze wszystkich, który jednak większej części swoich kolegów głowę utnie, ten, ktoby to był powiedział, wywołałby burzę śmiechu lub oburzenia! A jednak ta serya nieprawdopodobnych przypuszczeń, udratyzowana po fakcie przez La Harpea w sławnej Prédiction de Ca-

z o t t e, jest jeszcze błądą wobec tej przerażającej rzeczywistości, która pograżyła stare rządy w morzu krwi.

Współcześni świadkowie tych okropnych scen w niczem nie widzieli prognostyków tak strasznej katastrofy. Jeśli pominiemy kilka czarnych punktów, które mogły być złym znakiem tylko dla najwprawniejszego oka, niebo było czyste i jutro zdawało się nie mniej spokojne. Dynastyę lubiano, zwłaszcza od przyjścia na świat następcy tronu. Akta z 1789 r. świadczyły, że bezwzględna większość wybierających była szczerze przywiązana do religii i królestwa. Wprawdzie żądano pewnych reform, ale wszystkie albo prawie wszystkie dotyczyły niewątpliwych nadużyć, których już nikt nie bronił, nawet ci, co z nich korzystali. Zresztą łagodność obyczajów była taka, że nie było się co bać najbardziej energicznych reformatorów. Wszyscy szczycili się tem, że są czuli, tak jak dawniej za toby się czerwienili. Najwyższa powaga epoki, piśmiennictwo piękne, coraz bardziej stawało się idyllicznem. Zdawało się, że wszystkich opanuje powszechna litość. Tak wierzone we wrodzoną dobroć ludzkości i we wzniosłość głoszonych przez filozofię zasad, że przyszłość wyobrażano sobie chętnie, jako wiek złoty. Mniemano, że się go już dotykają. Pierwsze uchwały Konstytuanty przyjęte z entuzjazmem, często na wniosek samych uprzywilejowanych, nie wyglądały na to, żeby miały jeno zwieść umysły.

Pod tym względem święto Federacyi było świętem najszczerzego złudzenia. Sądono, że zawarto na wieki pokój ludzkiego braterstwa na podwalinach wolności. Błąd trwał długo. Już bowiem oddawna zapach prochu unosił się na idyllicznem niebie, gdy wymieniano jeszcze des baisers Lamourette. Nawet w wyobraźni złowrogich ścinaczy głów odnaleźć można silną wizję wielkiej sielanki Ludzkości. Wszak czuły Robespierre w szafirowem odzieniu, z kłosem i kwiatem w ręce, Robespierre, wymowny przeciwnik kary śmierci, świętuje uroczystość Najwyższej Istoty na ołtarzu na otwartem powietrzu. Bez wątpienia marzył on o szczęściu rodzaju ludzkiego, o przyjemności wiejskiego życia i powa-
bie cnoty i niewinności. Było to na kilka dni przed strasznem przebudzeniem 9 termidora!

Jeśli tak jest, to jak wytłumaczyć tę okrutną rewolucyę, ten piekielny karnawał, przez który przestraszona ludzkość prowadził w ciągu lat świętokradzki tłum i zmysłowa bezbożność? Jak zrozumieć to oszołomienie, które w pewnej chwili napadło na pierwszy naród w świecie, które nim zataczało i potraçało, jak pijanym człowiekiem oszołomienie, po którym zupełnie przyjść do siebie nie może. Czy to są konieczne kryzysy, towarzyszące narodzinom nowego świata, lub konwulsye konającej cywilizacyi albo może tragiczne sceny olbrzymiej walki dwóch sił, które tarמושją społeczeństwo, walki między

dobrem i złem, między prawdą i fałszem, między Bogiem i Szatanem?

Najpierw, próżna to robota tłumaczyć Rewolucję nadużyciami starych narodów. Byłoby to jednej z najmniejszych przyczyn przypisać skutek, którego rozmiary są nieobliczalne. Nadużycia były, lecz w chwili wybuchu Rewolucji francuskiej były raczej wszędzie, niż we Francji. Bo nigdzie indziej nie widziano po stronie klas wyższych tej dobrej woli wyplenienia nadużyć. Ten, którego wtedy nazywano najlepszym z królów, dawał pod tym względem przykład. Nadał prawa obywatelskie protestantom, zniósł tortury, zwołał *Assemblée des Notables*. Poraz pierwszy od 1614 r. zebrał Stany Jeneralne nie po co innego, jeno po to, by zorganizować współpracę króla i ludu w zaprowadzeniu koniecznych reform. Tę samą dobrą wolę, tę samą szczerłość widzimy w dwóch stanach uprzywilejowanych, tj. w duchowieństwie i szlachcie. Oba te stany uczyniły ofiarę z przywilejów na rzecz pokoju publicznego i korzyści wszystkich: duchowieństwo świadomem rzeczeniem się bez żadnej skrytej myśli, szlachta z entuzjazmem mniej wyrozumowanym. Był to niewidziany dotąd widok, że uprzywilejowani zrzekli się prerogatyw z pobudek patryotycznych i filozoficznych. Można powiedzieć, że jeśli Rewolucja miała być skierowaną przeciw nadużyciom, to powinna się była skończyć po nocy 4 sierpnia 1789, tj. wtedy, kiedy się ledwie zaczęła.

Błędem jest więc utrzymywać, że przyczyną Rewolucji były nadużycia starych rządów. Rewolucja jest czemś zupełnie innym, jak wysiłki oporu przeciw nadużyciom, istniejącym w chwili jej zwycięstwa. To, czego ona chce, jeśli można powiedzieć, że chce, to nie reforma rządów, ale ich zniszczenie. Jako ślepa siła niepowstrzymana, Rewolucja działała z mocą wyswobodzonego żywiołu, który wyraca do gruntu całe społeczeństwo, wrywając niby cyklop wszystko z korzeniami i pokrywając za sobą ziemię ruiną. Ale jak meteorologia może zdać sprawę z ukazania się cyklopu, tak i w historii wybuch podobnych katastrof można sprowadzić do wywołujących je przyczyn.

Duch rewolucyjny jest o wiele wcześniejszy od Rewolucji samej. We Francji, jak i gdzieindziej, można po jego śladach iść aż do Renesansu, z którego ów duch wychodzi, jak rzeka z lodowca. Jakiśmy widzieli, Odrodzenie równomiernie rozwinęło dwa prądy, których połączenie w pewnej chwili wytworzyło wielką siłę zniszczenia. Pierwszy to prąd wolnej myśli, szerczący się w świecie ducha; drugi to prąd wolnego używania, mający swe ognisko w wyższych sferach. Przez długi czas wolnomyślni z pogardliwą obojętnością trzymali się zdaleka od wielkich walk religijnych. Widzieli bowiem w nich jedynie spory bigotów. Jeśli zaś niekiedy wypadło im do nich się w mieszać, to jeno po to, by bronią ironii uderzyć tego, kto był narazie

straszniejszy. Chrześcijaństwo we wszystkich swych postaciach napelniało ich wstrętem. Oni otaczali swym podziwem jedynie pogaństwo, które nie miało ani dogmatów do krępowania umysłów, ani kapłaństwa dla wyjaśnienia owych dogmatów. Usadowiwszy się jedynie na ścisłym naturalizmie, oczekiwali chwili, gdy torujący im bezwiednie drogę protestantyzm skończy zwalczać swych przeciwników w świątyni i rzuci się przez podkop z młotem na sam szlachetny budynek.

Będąc rewolucjonistami szczegółowego pokroju, nie niepokoili władzy, najpierw dlatego że tryumfujący cezaryzm wprowadzał w życie dość dobrze ideał polityki pogańskiej, następnie dla tego, że nie czuli żadnego powołania do męczeństwa. Katolickie odrodzenie, które tak przepięknie otworzyło roczniki XVI w., nie pociągnęło ich ducha; ten bowiem wegetował pod tamtym jako prąd niższy i ujawnił się znowu, ukazany piorunującym słowem Bossueta na początku XVIII w. Wtedy rozlał się po świecie, przygotowanym na jego przyjęcie. Wynagrodził sobie za długie przymusowe milczenie. Z punktu widzenia chronologicznego niewielka jest przestrzeń między Fontenellem mówiącym, iżby nie otworzył ręki, jeśli by ją miał pełną prawd, a Baylem, otwierającym szeroko swoją, napelnioną sofizmatem tudzież kłamstwem. Ale dla tego, kto umie patrzeć, jakąż to ogromną przebiegnięto drogę między *Histoire des Oracles*,

ogłoszonych przez pierwszego 1687 r. i *Dictionnaire philosophique* przez drugiego w 1697 r. Tam był jeszcze wytworny sceptycyzm światowca, który dyskretnie owija powątpiewanie w szeregu frazesów, w gładkie słówka, w półuśmiech; tutaj widzimy już otwartą i cyniczną bezwyznaniowość, wyłożoną w całej brutalności. Słusznie zauważono, że cały Wolter był już w *Dictionnaire philosophique*. Zadanie patriarchy z Ferney polegało na spopularyzowaniu filozofii Baylea i na nadaniu jej charakteru wojującego i napastniczego.

Równoległe z niewiarą rozwijała się swoboda obyczajów, a ta powstawszy w wielkim świecie, gdzie życie pojmowano już tylko jako łańcuch przyjemności, zanieczyściła i splugawiła dwór Walezyców. Wstrętne jej ślady spotykamy w tak popularnej fizyogromii Beurnaisa. Jakież to straszne były obyczaje tego społeczeństwa, którego przyjaznymi analitykami stali się Branhôme w XVI i Hamilton w XVII w. Oslupienie ogarnia na widok cynizmu i swawolności, w których się mężczyźni i kobiety przesadzają, dążąc w jakimś wyuzdanym wirze za niegodziwymi przyjemnościami. Dopóki żył Ludwik XIV, urokiem, jakim otaczał swe rządy, ukrywał wszystkie te obrzydliwości pod szerokimi zwojami królewskiej purpury, tak że do najbardziej wyuzdanych wybryków wnoszono pewną wstydlivość, pewne poszanowanie samego siebie i innych, ale jego śmierć stała się hasłem nie-

słuchanej rozwiążności. Obrazilbym moje słuchaczki, gdybym w najdyskretniejszy nawet sposób chciał przedstawić przykład dany przez Regenta a później przez Ludwika XV. Natomiast trzeba wyznać, że te wzory zbyt naśladowano, że z małymi a czcigodnymi wyjątkami wyższe sfery, zdawało się, chciały zamienić całą Francję na dom publiczny. Nigdy dotąd cywilizacja chrześcijańska nie była widzmem tak obrzydliwego widowiska.

Te wskazane dwa prądy mieszały nie raz jeden swe błociste wody w czasie długiego okresu, zanim się Voltaire zjawił. Za niego utworzyły jeden prąd zalewający Francję. Złowrogi papież nowożytnej niewiary rósł w Hôtel da Temple, między sztabem generalnym występku i bezbożności. Przyjaciół liberynów wielkiego świata, był także przyjacielem zbyt sławnej Ninony de Lenclos, która mu ofiarowała testamentem dwa miliony franków na zakupno książek. Jest to dla nas pewną satysfakcją, że największy wróg wiary chrześcijańskiej był protegowanym swawolnej pani. Co do mnie, to gdy sobie przypomnę, że „filozofia“ wywodzi się z buduaru Ninony, doznaję podobnego uczucia do tego, którego doznawał Tertulian, winszując sobie, że pierwszym prześladowcą chrześcijan był ten, którego nazywano Neronem.

Volter był zupełnem wcieleniem niewiary XVIII w. Z zepsuciem i swawolą francuską połączył zacadzony fanatyzm, którego nabral

w Anglii w szkole deistów. Po powrocie stamtąd był ze wszystkich najlepszym robotnikiem niewiary. Jako umysł giętki i bystry bez miary, jako pisarz obdarzony licznymi zdolnościami, potrafiący z piekielną sztuką robić zatrutą ironią i sarkazmem bronią, Wolter w wypowiedzianej chrystyanizmowi na śmierć walce użył wszystkich środków, które mu dawała wyjątkowa w walkach intelektualnych zaprawiona organizacja umysłowa, a użył w niezmordowanej działalności, którą daje nieludzka nienawiść Kościoła. Prawie przez pół wieku prowadził walkę uwięzioną niezwykłym bezwyznaniowym prozelityzmem. Był on, jak mówi jeden wielki nowożytny poeta, misyonarzem dyabła dla ludzi swego czasu. Dzisiaj jego dzieł już nikt nie czyta, bo mimo ogromnego talentu, wszystkie one były okolicznościowe, ale jego duch pozostał niby zły geniusz nowożytnego świata. Dzisiaj jeszcze chrześcijaństwo nie może patrzeć na jego odrażającą twarz, żeby nie doznawało uczucia przestachu i zgrozy.

Okolo Woltera skupili się wszyscy wyznawcy bezbożności, czyli, jak z upodobaniem wtedy mówiono, filozofowie. Z łona tej grupy wyszła straszna bojowa maszyna, Encyklopedia, która pod pozorem dostarczenia ludziom skarbu całej nowożytnej wiedzy niosła we wszystkie klasy nienawiść i pogardę chrześcijaństwa. *Ecrasser l'infâme!* było rozkazem dziennym Mistrza, którego uczniowie nie raz

jeden zwali bigotem, gdyż sami byli ateuszami; Wolter zaś czynił Bogu honor, że weń wierzył. Zgrupowani, zorganizowani, panowie opinii, otoczeni urokiem nauki, ciężko przez władzę prześladowani, a skutkiem tego coraz popularniejsi, encyklopedyści mogli podkopywać bezkarnie wszystkie religijne wierzenia, wszystkie podwaliny moralnego i społecznego życia. Zresztą umieli oni nawet rząd wciągnąć do swej pracy. Ci religijni wyzwoleńcy pod względem politycznym byli, przynajmniej pozornie, zachowawcami. Krnąbni wobec Boga tylko, umieli szanować despotów, słać ich nawet w razie potrzeby. Więc Wolter padał plackiem przed Fryderykiem II, Katarzyną II nawet przed panią Pompadour, obojętny na wszystko, co nie było walką z wiarą Jezusa Chrystusa. Byleby tylko zniszczyć religię, mniejsza o resztę; nie troszczy się o resztę może dlatego, że wie, iż tamto samo wystarczy. Zdaje się przynajmniej, że czasami wśród wydającej śmierć pracy przewiduje, co się stanie: „Po mnie ujrzą wielką burzę“ pisze, ale to chwila tylko, poczem ciągnie dalej swoją złą robotę.

Wolter nie wyciągnął wniosków politycznych, ponieważ zbyt lubił spokój i ponieważ w głębi duszy był człowiekiem starych rządów. Za niego zrobi tę pracę kto inny, nie wielki pan, który chce spokojnie umrzeć w swem pięknem ustroniu, w Ferney, ale plebeusz

zgorzkniały, źle wychowany, posądzający i odłudek niezwykły. Mając duszę poety a serce lokaja, Jan Jakób Rousseau nienawidzi i gardzi nie tylko społeczeństwem, w którym żyje, i cywilizacją, która go otacza, ale wszelkiem społeczeństwem i wszelką cywilizacją. Posiada to, co mieć trzeba, by wlać w cudze serce swe rewolucyjne zawziętości: porywający zapal słowa, prawdziwą uczuciowość, szczerą wrażliwość, entuzjazm dla piękna i dobra albo dla tego, co za piękne i dobre uważał. Wnosi do literatury francuskiej nowy pierwiastek. Temu sztuczniemu społeczeństwu salonów, on, dziki, śpiący pod gwiazd osłoną, objawia czary natury; daje uczuć piękno pejzażu tym wielkim panom, którzy go nigdy nie widzieli, chyba przez okno w dachu. Na jego głos cały dwór wczesnie wstaje, by wraz z Maryą Antoniną iść podziwiać świeżą zorzę. Dziw, nawet Wolter ma chwile zachwyty!

Wszelako nie to jest prawdziwym zwycięstwem Jana Jakóba. Samotnie marząc, uczynił on inne odkrycie. Wynałazł, że człowiek, wyszedłszy dobrym z rąk przyrody, popsuł się w społeczeństwie. Była to herezja połączona z sofizmatem, bo odrzuca grzech pierworodny, bo zresztą, co to jest społeczeństwo, jak nie człowiek! Wynałazł, że wszystkie sztuki piękne cywilizacji, a zwłaszcza nauki i literatura służą jedynie do psucia człowieka. Wynałazł, że społeczeństwo jest wynikiem

kontraktu, zawartego między jego członkami, że ich wyrażająca się wedle upodobania wola jest źródłem prawa. Furda z religii, z moralności i z tradycji! Naród jest jedynym panem, wszelkie instytucje, wszelkie prawo, wszelka wola, idące naprzeciw woli ludu, jest tyranją, uzurpacją, zbrodnią stanu.

Takie to teorie wymownie a namiętnie Russo siał w umysły współczesnych. Społeczeństwo, które nauczono śmiać się z prawa religijnego i w nic nie wierzyć, musiało entuzjastycznie przyjąć tak bardzo zwodnicze poglądy. To też można powiedzieć, że doktryna zawarta w *Contrat Social* stała się w krótkim czasie własnością wykształconego ogółu. Russo miał uczniów bez miary, zwłaszcza w klasach, które sarkazm *Voltaire'a* odwrócił od religii i które, przestawszy wierzyć w ideał chrześcijański, a nie mogąc się obejść bez ideału, mniemały, że go znalazły w marzeniach sofisty *genewskiego*.

Zagadnie mię kto, czyż wystarczy połączyć wolną myśl i rozpustę, by stworzyć rewolucyjnego ducha! W Anglii np. klasy panujące z niemniejszym niż Francja cynizmem łączyły pogardę dla chrześcijańskiej wiary i prawa moralnego, a jednak Anglia nie przestała być najkonserwatywniejszym narodem. To prawda. Wszelako byłoby bardzo ciekawem zbliżyć się przyjrzeć tej reakcji, która wyswobodziła naród angielski od filozofów i zwróciła go do tradycji

chrześcijańskiej. Zresztą, pomijając już, że zło nie zapuściło się tak głęboko w Anglii, jak we Francji, należy pamiętać, że Francja jest krajem, gdzie każdy ideał dąży do urzeczywistnienia się w życiu. Tam mniej, niż gdziekolwiek indziej, znoszą sprzeczność między ideałem a rzeczywistością. Otóż wykształceni francuzi mieli własny ideał politycznego społeczeństwa, opracowany zgruba przez Odrodzenie, wykończony przez filozofię XVIII w. Ten zaczerpnięty z literatury starożytnej a dopasowany do nowożytnego społeczeństwa ideał był momentem wyobraźni, pojęciem oderwanem, zamkniętem w rozumie czystym. Zdawało się, że najpilniejszą i najłatwiejszą zarazem sprawą jest jego zrealizowanie, sprowadzenie na ziemię wolności, obywatelskiej cnoty, rozumu, filozofii, powszechnej szczęśliwości. Wystarczy to wszystko nakazać.

Przynajmniej w to wierzone. Wszyscy byli daleko od tej podwójnej wiary, religijnej i politycznej, która podyktowała *J. Racine'owi* te galikańskie słowa: „Bóg mi dał tę łaskę, że się nie wstydzę nigdy króla ani Ewangelii“. Przeciwnie, wszyscy byli przekonani, że religia i monarchia, czyli, jak wtedy mówiono, fanatyzm i despotyzm są przyczyną wszelkiego zła wśród ludzi. Oszukana przez kapłanów, zgniewiona przez tyranów, ludzkość wtedy dopiero będzie na wysokości swego zadania, gdy się uwolni od jednych i drugich i gdy podawać

będzie ucho jedynie na wskazania filozofii. Widzieliśmy już, z jakim to zapamiętaniem się uczuciowe serca filozofów i uczniów oczekiwały tego błogosławionego dnia. Dodać należy, że wszelka przeszkoda w urzeczywistnieniu tego marzenia o złotym wieku, wszelka reakcja przeciw szlachetnym wysiłkom dla dobra publicznego, wywołuje w tych tak słodkich i ludzkich śmiertelnikach straszny gniew głupców. Albowiem w tem widzą obrzydliwy zamach na wolność ludzką i niemasz wedle ich zbyt prawowitego oburzenia takiej kary, którejby nie chcieli ściągnąć na twórców tak występnego dzieła. Bo „filozofia“ jest również religią. I jeśli nie posyła swoich heretyków na stos, to dlatego że ma wstręt do inkwizycji, lecz znajdzie wkrótce inny środek na ukaranie pomiatających prawowiernością. Moznaby powiedzieć, jeśliby to nie było uprzedzaniem biegu opowiadania, że Rewolucya nic innego nie wynalazła.

Bez wątpienia. Filozofowie i ich uczniowie nie byli całym narodem. Ale oni byli jego częścią działającą i, jak to często bywa, łatwo im się było wziąć za naród. Oni mieli wielkie słowa, mówili w imię narodu bez jego mandatu i byli coraz więcej słuchani przez lud gdyż mu z Sieyèssem prawili, że był niczem, a powinien być wszystkim. Ledwie się zebrały stany generalne, gdy oni chcieli je opanovać, odmawiając wszystkim innym stanom praw, a króla uważając za mandataryusza.

Król nieroztropnie polecił, by wszyscy głosowali stanami, a lud chciał głosowania osobistego. W tym konflikcie wola ludu miała stać przed wolą króla. Mistrzowi ceremonii, który przyszedł oświadczyć trzeciemu stanowi, by się zebrał do sali posiedzeń i opuścił salę ogólnych zebrań, prezes Bailly odpowiedział: „Sądzę, że zgromadzony naród nie może odbierać rozkazów“. Te słowa, bardziej autentyczne, niż te, które miał powiedzieć Mirabeau, są również wymowne i w ustach wybrańca były one kaprysem bez siły buntowniczej, w ustach prezesa trzeciego stanu oznaczały one przywłaszczenie sobie przez lud wszystkich praw, wypowiedziane w skromnym zwrocie, ale w gruncie rzeczy dumnym.

Rewolucya już zaczęta. Następujące po tem wypadki są jedynie logicznym rozwojem tego początku. Jeśliby pragnienie krwi i miłość hałasu nie była ostatnią częścią rewolucyjnego ducha, toby mistrzowie dzisiejszej Francji obchodzili 23 czerwca a nie 14 lipca, jako pamiątkę emancypacji.

Otóż stare rządy oddane w moc stanów generalnych, które z nimi czynią to, co chcą, a królowi zostawiają jedynie wątpliwy przywilej potwierdzania tego, co uchwalą, pod grozą nowych zaburzeń. Filozofowie są mistrzami Francji. Rozum zaczyna swe panowanie.

Ale też rozum ukazuje się jako bardzo biedny, a prawodawcy — stoją poniżej swego zadania. Wzięci w całości, tworzą oni ciało bardzo niedoświadczone i głupie, chociaż jednocześnie zarozumiałe pewnością siebie wobec wielkiego dzieła, które na siebie przyjęli. Ponieważ od wieków kilku wszyscy stali zdala od polityki, Stany Generalne nie wiedzą wcale, jak się rządzi społeczeństwem. Ich członkowie są reformatorami biurkowymi, którzy sądzą, że szczęście ludzkości się stwarza nakazem prawnym i którzy naiwnie nakazują patriotyzm i szczęśliwość narodową. Prawie wszyscy, jakem to już wspomniał, są napelnieni wspomnieniami klasyków i przejęci ideą cnót republikańskich, które ich nauczono podziwiać w starożytnych bohaterach, wtedy jeszcze, kiedy odbywali swe nauki. Dzisiaj to sobie przypomniał i wydają prawa, jako ich koledzy. Czy może być w całej historii cywilizacji coś tak ciężko śmiesznego, jak to postąpienie Herolda de Séchellesa, prezydenta Konwencji, który w chwili, gdy miano ukuć jedną z tych, licznie przez rewolucjonistów nadanych Francji, ustaw, zażądał z Biblioteki narodowej praw Minosa, by z tego pomnika prawodawczego skopiować prawa, które zamierzał dać swej ojczyźnie!

To też siła rzeczy, prawa historii, prawa życia ogólnego—wszystko to zemściło się za tezie Russa. Bo ledwie Stany Generalne dały

zrozumieć królowi, że tylko lud jest najwyższą władzą, a już z tłumu wychodzą tysiączne głosy im samym powtarzające to, co oni rzekli królowi: ten lud panujący to my, wy jesteście jeno delegatami.

Kim jest ten, co tak mówi? Czyż to naród francuski? Gdzie tam. Naród jest przy ognisku, w fabryce, przy warsztacie, przy owocnej i cywilizacyjnej pracy; ten naród zapisał swe życzenia w aktach w 1789 r. Zawsze, gdy może objawić swą wolę, przemawia, by potępić występujących w jego imieniu intrygantów i złoźników. Ale co ich to obchodzi? Od chwili gdy niema pana we Francji, od kiedy 14 lipca i 5 października 1789 r. znosi władzę królewską, oni się uważają za prawdziwych panów ojczyzny — oni są zorganizowani, wiedzą czego chcą, oni mają w swych rękach Króla i stany generalne, oni gdy zechcą rzucają na nich gniew ludu, wywoływany i utrzymywany wedle programu, oni stworzyli 14 lipca, 20 czerwca, 10 sierpnia, 31 maja, tj. najważniejsze daty rewolucyjne. Pracowniami tych fabrykantów ruchu ludowego są kluby, a w klubach stanowią prawa najfanatyczniejsi i najmniej mający sumienia, tak że ostatecznie dwóch lub trzech ludzi, najgorszych przedstawicieli swego gatunku, jest owym wszechwładnym ludem.

Taine odmalował swą gryzącą wymową ów tryumwirat, co trzymał w rękach losy Francji. Zdaniem Tainea składał się on z jedne-

go waryata, Murata, z jednego barbarzyńcy, Dantona, i z jednego rzeźnika, Robespierrea. Są to prawdziwi synowie Woltera i Russa. Robespierre jest tym człowiekiem, który uznał Contrat social za ewangelię; on nie ma innego politycznego wykształcenia. Z garstką współwinnych ci nędznicy rzucili się do roboty jedynym celem, z jedynym ideałem zniszczenia wszystkiego, co ich krępowało; przeto kosili najprzód królów, szlachtę, kapłanów, potem każdego, kto nie miał ich rewolucyjnego ducha, t. zw. żargonowo moderantystów, fejdantów, żyrondynów; gdy już było wszystko znielowane, pozostało tylko jedno: wygubić się im samym: wypadło, by Jakobini ścięli głowę Kordelierom, Termidorzy Jakobinom — a Dyrektoryat reszcie. Nakoniec przyszedł dyktator, który oklaskiwany przez Francję rozpędził batem całą menażeryę i ustanowił na swą korzyść tak oplwany niedawno despotyzm. Ostatni rewolucyoniści stali się jego lokajami i poplecznikami. Dał im do noszenia złotą liberyę, z czego byli bardzo zadowoleni; jeden z nich, zostawszy księciem cesarstwa, oświadczył swoim towarzyszom z Montagne: „Wobec publiki nazywajcie mię ekscelencyą, między nami mówcie po prostu Monseigneur“¹⁾).

Zapewne, to śmieszne. Przeciwnicy Rewolucyi mogą się śmiać widząc, jak tragedia

¹⁾ Opowiadają tę anegdotę o Cambacérè'sie w Mosaïque belge 1837.

kończy się farsą. Ale mniej komicznem jest to, że duch rewolucyjny, zanim zaczął czynić honory w przedpokoju nowego cesarza, miał czas najechać całą Europę, wszędzie rozsiać ziarno zła, od którego dziś jeszcze cierpimy. To zło to uroszczenie, żeby się obchodzić ze społeczeństwami politycznymi jako z tworamizyściego rozumu, wolnymi od praw boskich, rządzących światem i ludzkością.

Taki jest w niewielu słowach początek rewolucyi francuskiej. Zanim weszła do dziejów, już była w umysłach i sercach. Zwyciężyła zaś wskutek abdykacyi lub współwiny wszystkich sił, które się jej powinny były sprzeciwić. Ona była wybuchem umysłowej i moralnej choroby, która od dawna trawiła naród i która od klas wyższych udzieliła się burżuazji, gdzie przyjęła postać politycznej katastrofy.

Czy tej katastrofy nie można było uniknąć?

Śmiało odpowiem tak i byłoby się jej uniknęło, gdyby tam był Kościół katolicki. Lecz Kościoła we Francyi nie było. Wykluczony stopniowo od XIV w. z rad politycznych, uważany przez królów za obcego lub nawet rywala, tak podbity, że musiał złożyć masonom ofiarę z Jezuitów, przygnieciony, że już nie mógł nauczać o nieomyślności najwyższego Pasterza, strzeżony i szpilkowy nawet w swej liturgii, Kościół był we Francyi tylko kółkiem, które puszczał w ruch jedynie despotyzm Państwa.

Kościół galikański pozwalał na siebie nałożyć cztery artykuły, to śmiało wejście państwa w dziedzinę wyłącznie nauczycielską. Przyjmował z ręki królewskiej królewskie dogmaty, jak odrzucał papieskie. Utworzenie stanu kapłańskiego i posiadanie przywilejów nie miało dla niego żadnego znaczenia. To położenie pozornie pożyteczne, było raczej ciąglem źródłem kurczenia się i niepopularności. Będąc związanym z losami władzy, Kościół stawał się z nią solidarnym w odpowiedzialności. Opinia publiczna czyniła go odpowiedzialnym za wszystkie błędy ustroju, którego był częścią. Kościół nie miał styczności z duchem publicznym, nie rozporządzał żadną dźwignią, mogącą poruszyć umysły. Świat ideałów wysunął się zupełnie z pod jego wpływu.

Czyż to nie jest bolesne widzieć, że wszyscy dygnitarze kościelni wyszli wyłącznie ze szlachty wtedy, gdy urodzeni byli wystawieni na wszystkie antypatye? W szeregach wyższego kleru były jeszcze, od czasów Ludwika XIV, dzieci burżuazyi, nieczyniący wcale ujmy biskupim stolicom. Jeden z nich zwał się Bossuetem. Lecz w chwili wybuchu Rewolucji na 150 biskupów Królestwa francuskiego nie było ani jednego nieszlachcica! Wzięty w całości episkopat francuski w całym swym życiu prywatnym był godzien uszanowania, ale jakież rozdział między nim a narodem, ileż nieporozumień! To wyższe duchowieństwo szlacheckie,

dworskie, absenteistyczne, światowe, prawie zlaicyzowane nie było na wysokości wymaganej przez wydarzenia. Nie posiadało ani uroku nauki, ani blasku wielkich cnót ani popularności. Nie było odpowiedniem do kierowania Kościołem podczas burzy.

Jak ci, tak też i duchowieństwo niższe nie odwiedzało położeniu. Prawda, dawało ono wzór cnót chrześcijańskich, w społeczeństwie zepsutem ono jedno było nietknięte. Tocqueville oddał mu wspaniałe uznanie: „Zacząłem, mówi, badanie dawnego społeczeństwa, pelen uprzedzeń przeciw niemu, skończyłem je pelen uznania“. Inni świadkowie mówią to samo. Wszyscy wiedzą o heroizmie, z którym duchowieństwo francuskie przetrwało złe dni Rewolucji. Lecz chociaż było pod względem moralnym dobrze zachowane, nie miało już prawdziwego zrozumienia swego zadania. Uległo bowiem ogólnemu rozczarowaniu i znużeniu, zgodziło się na to, żeby nic nie znaczyć, nie zbuntowało się, widząc poniżenie Kościoła. Jak mówi dobry sędzia¹⁾, brakło mu umysłowej odwagi, słowem było ono odpowiedniejsze do męczeństwa, niż do apostołstwa. Najsmutniejszym było to, że większa część kleru nie widziała piękności społecznej nauki Kościoła, ale dała się opanować poglądom Russa i oklaskiwała niektóre kawałki

¹⁾ Ks. Sicard, *Le clergé de l'ancien régime, les évêques*, II, 114.

prawdy, niby to dokonane przez filozofów odkrycia, chociaż te półprawdy były wzięte z prawdy katolickiej! Takto w szeregach duchowieństwa zapomniano o współczesnej i politycznej tradycji. Nie znam nic boleśniejszego nad to złudzenie pasterzy, owych z powołania stróżów skarbu, którzy na miejsce tego skarbu pozwalają podstawić złą monetę!

Bolesną raną podczas całego wieku nie tyle były owe ogłuszające krzyki błędu lub zbrodni, ile to, że nikt nie słyszał, by Kościół katolicki nauczał społecznej prawdy. Wszystkie kłamstwa przemawiały a Kościół Boży milczał: tylko jego głos nie wznosił się w tym koncercie niezgodnych głosów, które XVIII w. czynią tak burzliwym i tak dziwnym. Ten wiek nie słyszał, by czyje słowa, pochodzące od autorytetu lub sławne wymową, głosiły świetlane i mocne poglądy wiary katolickiej na naturę społeczeństwa, na zadanie państwa i władz publicznych. Tylko tych wielkich pojęć nie broniono wcale, gdy tymczasem niemasz sofizmu, któryby nie miał za sobą jako obrońców kilku ludzi utalentowanych lub genialnych!

Wyobraźmy sobie, co by to było się stało, gdyby w latach największej chwały monarchii, podnieśli się biskupi, kapłani a za nimi wierni, którzyby ogłosili wieczne prawdy społeczne chrześcijaństwa, którzyby, zwracając się po przez odrodzenie aż do wielkich Doktorów średniowiecznych, nauczylili zażdi świtwiony, że

jest polityka chrześcijańska, że ona nie jest absolutyzmem królewskim, że ona zawiera w sobie prawdy wieczne i ich zastosowanie, nova et vetera! Gdyby oni byli, jak Fenelon w Plan de gouvernement dla księcia Burgońskiego, zaprotestowali przeciw uciemieniu Kościoła, gdyby żądali dla niego wolności, przynajmniej takiej, jak w Turcyi¹⁾, głosili zaniechanie wyuzdanego zbytku dworskiego, karcili wszystkie nadużycia i szukali środków przyniesienia lekarstwa na zła społeczne! Czyż nie można wierzyć, że ich usłuchanoby i czyż nie ma się prawa być przekonanym, że monarchię byliby zbawili? Podobnie, czy dzieje świata nie byłyby zmienione, gdyby w chwili, kiedy powstało zagadnienie reorganizacji społecznej, znalazł się episkopat, któryby przypomniał, że tej naprawy trzeba szukać w Ewangelii i nauce katolickiej a nie w Esprit des lois ani w Contrat Social? Gdybyż Kościół był mówił z namaszczeniem powagi, jaką sam tylko posiada, o wszystkich sprawach, co obchodziły ludzkość! Jakież to światłem jego doktorowie byliby oświecili ciemność sporów o zadanie państwa i społeczeństwa! Jakież pomoce Kościół był miał na usługi tych umysłów szczerych i szla-

¹⁾ „Wielka Turcyja zostawia chrześcijanom swobodę wyboru i złożenie swoich pasterzy. Gdyby postawił Kościół w tem samem położeniu, tobyśmy mieli swobodę (jakiej niemasz) wyboru, złożenia i zjazdu biskupów“. Dzieła Fenelona, wyd. Didot 1861. IV, 432.

chetnych, którzy na początku Rewolucyi, marzyli o odrodzeniu Francyi pod sztandarem religii i powagą króla! Naródby miał swoje credo polityczne, któreby przeciwstawił nowatorom. Rozdział, który sofiści zdołali stworzyć między religią i przyjaciółmi wolności, nie miałby racyi bytu dłuższego trwania. Powszechnie przyłgnięcie tamtoczesnych ludzi do kłamstw Rewolucyi było możliwe jedynie wskutek tego, że zakneblowany i osłabiony Kościół milczał; byłoby zaś uniemożliwione, gdyby Kościół miał świadomość samego siebie i gdyby się cieszył zupełną swobodą.

Odtąd, jeśli tak rzec można, Kościół się opamiętał. Mogło się zdawać, że śpi wtedy, gdy się rozpętała Rewolucya. Ale wyznać trzeba, że był to sen Jezusa w miotanej burzą barce. Jego przebudzenie się, acz późne wobec naszych pragnień, było owocniejszym. Przeogromny ruch społecznego i umysłowego ześrodkowania dokonują się przed naszymi oczami w szeregach Kościoła. Są to przedobjawy walnej bitwy, groźniejszej od wszystkich, jakie dotychczas stoczono przeciw potęgom ciemności.

Nie dajmy się zwieść odmiennymi pozorami. Zaiste, nasza atmosfera niemniej jest przesycona jak przeddzień rewolucyi. Ośmielam się nawet powiedzieć, że rewolucya nie była poprzedzona tak strasznymi symptomami, jak te, które w naszych oczach zdają się zapowiadać nową katastrofę. Za naszych dni nie odpowiedzianoby uśmiechem niedowierzania nowemu

Cazotteowi, któryby chciał, jak w końcu XVIII w., odmalować najczarniej i najbardziej desperacko obraz przyszłości.

Wszelako, mylonoby się, Dlaczego? Dlatego, że położenie świata chrześcijańskiego zmieniło się głęboko od wieku. Wtedy duch rewolucyjny był młody i kipiał życiem, przychodził do nas z ręką pełną nieskończonych obietnic; był panem świata; cała ludzkość go przywoływała; siły społeczeństwa zachowawcze oddały mu broń. Dzisiaj on jest stary i niepoważany, kłamstwo jego obietnic jest tak jasne, jak słońce dnia; jest potępiony w umysłach wszystkich tych; co myślą, nie jest niczem więcej, jeno zabobnem na użytek ciemnych umysłów. Wtedy Kościół katolicki, okaleczony i okuty, był jak niewolnik, którego katastrofa znalazła, jako leżał u stóp tronu i oczekiwał swej kolei pójścia na rusztowanie. Dziś oswobodzony, zwrócony sam sobie, wznosi się jak olbrzym przeciw Rewolucyi, nietylko po to, by bronić pozostałych jeszcze dziedzin, lecz by odebrać to, co mu zabrano. Zaczął od rozbicia wszelkich sentencji filozofizmu. Powołał do życia zakon jezuicki, którego zamknięcie mu nakazano. Ogłosił nieomylność swej głowy. Potępił po dwa razy w 1832 i 1864 błędne dogmaty z 1789 r. Wreszcie budując na ruinach królestwa kłamstwa, ogłosił w nieśmiertelnych encyklikach konstytucję chrześcijańską państw i wielką kartę oswobodzenia pracy.

Kto zaprzeczy, że dziś, jak w średniowieczu, Kościół katolicki jest najwyższą powagą świata? On mówi do całego rodzaju ludzkiego z powagą i słodyczą, które są tylko jego własnością. I on tylko jeden do świata przemawia. W powszechnym upadku tronów, szkół, doktryn, on jeden tylko jest siłą moralną, co trwa. Jego zadziwiająca wyższość wzrasta w całej głębokości jego upadku. Za każdym razem, gdy głos podnosi, niezliczone odgłosy odpowiadają mu na całym świecie. Dzisiaj jest myśl katolicka—ona mierzy wszystkie idee wedle wiary chrześcijańskiej, potępia je, jeśli ją zwalczają, przyjmuje, jeśli jej nie są wrogię. Silna i poważana, świadoma sama siebie krąży z jednego krańca ziemi na drugi. Niemasz już zwycięskiego sofizmu, któremu by nie przeciwstawiła pewnej prawdy. W socjologii, w nauce, w sztuce, we wszystkich objawach umysłowego i moralnego życia ludów, ujawnia się myśl katolicka z rosnącą ciągle siłą i energią. Nie dowodzą jej błędu, bo jest nie do zbiccia. Jeno z nią walczą konspiracje milczenia.

I to nie wszystko. Zstępując z terenu nauki do działania, duch katolicki zabrał się do zajęcia stanowiska w życiu publicznym. Bataliony katolickie organizują się, wszędzie powstaje armia świeckich: to lud idzie podać silną rękę duchowieństwu, to landwera Kościoła dopomina się udziału w walce. Jakaż to radość dla serca i umysłu, gdy się widzi, jak pod wpływem

natchnienia żołnierze się łączą i skupiają około swych sztandarów. Bez wątpienia, powolna to i długa praca, której jeszcze do końca daleko, ale już jej nic nie stanie na przeszkodzie. W pewnych krajach, jak w Belgii, Holandyi, w Niemczech katolickich, północnych Włoszech, jest na bardzo dobrej drodze, w innych narodach samo prześladowanie będzie niejako ostrogą dla spóźniających się. *) Byłby ślepy, ktoby się mylił i ktoby widział we wściekłości i rozjątrzeniu prześladowców co innego, jak najwyższy wysiłek niegodziwości tam, gdzie ma być zwyciężoną.

Lecz, bezwątpienia, zapewni tryumf sprawie katolickiej, gdy po ludzku będziemy sądzili, to mianowicie, że dziś, jak i we wszystkich innych epokach, stanowiących dla Kościoła kryzys rozrostu, istnieje znakomita odpowiedniość między nim a przyszłością. Odlączając swą sprawę od losów klasy, która chciała go mieć współodpowiedzialnym wraz ze sobą, Kościół jej odpowiada, jak Żydom, jak rzymianom, jak feudalnym panom, jak wreszcie tym wszystkim, co wracali do przeszłości. Pozostawia umarłym grzebanie umarłych a zawiera pakt z żywotnymi siłami XX w. Podaje program masom ludowym, które się podnoszą i szukają swej drogi.

*) To było napisane 1900 r. Zdaje mi się, że wypadki, które się wydarzyły w ciągu tych ostatnich kilku lat, zwłaszcza we Francyi, nie są takiej natury, by mogły wpłynąć na zmianę mego przekonania.

Ten program, którego zasady stworzyła encykł. Rerum Novarum, nie jest programem Rewolucyj, jak to krzyczą kalumniatorzy, lecz programem, wziętym z Ewangelii, programem św. Tomasza z Akwinu. To królestwo Boże otwarte dla wszystkich, gdzie nic nie znaczy urodzenie, ani pieniąż, a wszystko cnota i zasługa. To demokracja ewangeliczna, zbudowana na fundamencie ubogich i urzeczywistniająca prawo sprawiedliwości i braterstwa w coraz szerszem zastosowaniu nowego przykazania.

Krwi żądnemu i niecnemu ideałowi, który przedstawia zatkniony na czapce niewolnika czerwony sztandar, Kościół przeciwstawia swój niezrównany Ideał miłości Boga i bliźniego, ukorowany znakiem Krzyża. Wątpić nie można, że w końcu zwycięży, mimo przeciwnych pozorów. Dusza ludzka jest z przyrodzenia chrześcijańską, wszystko, co jest w niej wzniosłego i wielkiego, jest zwrócone ku Ewangelii. I samo społeczeństwo ludzkie, wiedzione pewnym instynktem, zmierza zawsze w kierunku Jezusa Chrystusa, ilekroć jest posłuszne naturalnemu prawu samozachowawczemu. Pozwólcie działać złemu duchowi: on sam podejmie się pracy przyśpieszenia wydarzeń, on sam prędzej sprowadzi dzień, gdy ludzkości pozostanie jedno tylko — wybrać między cywilizacją katolicką a rewolucyjną anarchią. Tego dnia wybór będzie dokonany łatwo.

Pozdrawiamy więc z nadzieją i uszanowaniem tę fermentacyjną pracę, która się w tej chwili dokonywa w łonie religijnego społeczeństwa. Kielkuje nowa wiosna katolicka. Przeszłe wieki przedstawiły naszym oczom niejeden tego rodzaju widok, kilka z nich rozważyliśmy. To nam ułatwia ocenę tego, co się dzieje przed naszymi oczami, i daje nowy dowód nieustającej żywotności Kościoła. Nie rozumiemy wcale podanych przez historię nauk ci, których ten widok przestrasza. Raczej cieszyćby się winni. Ci tylko trapić się mogą, którzy są na tyle nie-szczęśliwi, że przekładają interesy klasowe nad sprawę rodzaju ludzkiego.

Spis rzeczy.

| | <i>Str.</i> |
|---------------------------------------|-------------|
| Słowo od tłumacza | V — VII |
| WSTĘP. Powołanie Kościoła | 8 — 17 |
| Wykład I. Kościół i Żydzi | 18 — 32 |
| „ II. Kościół i Barbarzyńcy | 33 — 45 |
| „ III. Kościół i Feodalizm | 46 — 68 |
| „ IV. Kościół i Neocezaryzm | 69 — 97 |
| „ V. Kościół i Odrodzenie | 98 — 126 |
| „ VI. Kościół i Rewolucya | 127 — 155 |

Oceny dotyczących wydanych broszur z cyklu:

Współczesne zagadnienia podstawowe. Nr. 1

Eryk Wasmann.

Dawne i nowe badania Haeckla nad zagadnieniem o człowieku.

Przyrodznawstwo przy obecnym rozgałęzieniu specjalnych działów, przy śmiałości hipotez i wniosków uogólniających, przy olśniewających praktycznych wynikach i wynalazkach — dla współczesnego człowieka stało się tą poważną dziedziną, do której chętnie zwraca się, aby na materiale przyrodniczym urobić sobie pogląd ogólny na świat. Zwłaszcza problemat o pochodzeniu człowieka jest tą palącą kwestyą przyrodniczo-filozoficzną, którą słusznie zaliczyć należy do „Współczesnych zagadnień podstawowych“. Dziś dużo się pisze, mówi o tem, jakoby nauki przyrodnicze dały fakty, pewniki niezbite, które stały się dowodami naukowymi zwierzęcego pochodzenia człowieka. Apostołem bezwzględny tej idei jest osławiony zoolog Jenajski, Ernest Haeckel. A jednak,

rzetelne badania wykazały, że „nauki przyrodnicze nieumieją dać nic określonego i pewnego o zwierzęcem pochodzeniu człowieka: mogą one nam dostarczyć tylko mnóstwa najrozmaitszych i sprzecznych z sobą opinii“. Te słowa uczonego O. E. Wasmanna (ob. wstęp str. II) broszura niniejsza wyraźnie, aczkolwiek tylko ubocznie, potwierdza.

Ze „wstępu do tłumaczenia polskiego“, opatrzonego kryptonimem S., dowiadujemy się, jakie stanowisko wobec apodyktycznych twierdzeń Haeckla zajął uczony przyrodnik O. Eryk Wasmann, — jak zbrojny zasobem wiedzy biologicznej wykazał fałszywe i kłamstwa Haeckla, tego proroka monizmu niemieckiego. To też „Wstęp“ doskonale nam tłumaczy doniosłość danego przekładu. Autor (S.) zapoznaje nas ze stanem kwestyi, przypomina dość obszernie literaturę polską poruszonego zagadnienia i informuje czytelnika, że przekładu dokonał starannie i sumiennie przyrodnik specjalista R. W.

Wobec ubogiej literatury naszej w tym przedmiocie sądzimy, że broszura niniejsza słusznie znalazła się w cyklu broszur „Współczesne zagadnienia podstawowe“, jako nr. 1. Do zalet zewnętrznych wydawnictwa zaliczyć należy sympatyczny format podłużny, druk wyraźny, papier dobry. Strona techniczna przynosi zaszczyt przedsiębiorczym wydawcom księgarńi „Kroniki Rodzinnej“.

Na zakończenie upoważnieni jesteśmy

do zakomunikowania, że w dalszym ciągu przygotowują się prace oryginalne i przekłady dzieł o treści aktualnej, które niezadługo ukażą się w druku jako dalsze numery cyklu „Współczesnych zagadnień podstawowych“.

Pod pięknym hasłem: miłość prawdy — „Nil nisi verum“ (str. IV), niech niosą broszury zdrowy i poważny pokarm, rzetelne informacje w kwestiach aktualnych, zwłaszcza w dziedzinie naukowo-religijnej. Szczęść Boże!

(*Dziennik powszechny*) Por. też ocenę tego dziełka w *Miesięczniku Katechetycznym i Wychowawczym*, Lwów, 1911, roz. I, str. 451—452; i w *Ateneum Kapłańskim*, Włocławek, 1911, t. V, str. 194.

Współczesne zagadnienia podstawowe: Nr. 2
Ks. Kazimierz Tomczak.

Modernizm a protestantyzm liberalny.

Jest to druga broszura z cyklu: „Współczesne zagadnienia podstawowe“. Ze odpowiada założeniu, to widać z samego tytułu. Omawianie modernizmu jest na czasie, dowód choćby jest ten, że Stolica św. całym szeregiem dekretów napiętnowała nowy przejaw ateizmu współczesnego. Jak hydra stugłowa przejawia się on we wszystkich dziedzinach myśli naukowej katolickich niegdyś pisarzy, albo tych zacządzonych, co bronią się od herezyi i pragną pozostać w łonie Kościoła, a zdradzają jednak swą chorobę na każdym kroku. U nas choć dały się słyszeć głosy niejednokrotne, że

modernizm zapuszcza swe korzenie i w polskie umysły, to jednak nie jest on takim, jak w Niemczech, Włoszech lub Francji... Raczej w praktyce życia się uwidacznia i w ogólnym zwrotnym kierunku młodych umysłów, pragnących nowych szlaków i nowych dróg... i w pewnym nieuzasadnionym krytycyzmie przeciwko czyścym katolickim poglądom. Jakgdyby one prowadziły w ciemność nie na jasność, nakładały pęta duchowe, nie podnosiły myśli w sferę najczystszych ideałów.

Ks. C. Sokołowski swemi wydawnictwami chce dać czystą naukę, nie puszczać się w polemiczne rozprawy,—budować pozytywnie... Uzupełnił sam broszurę ks. K. T. wstępem, w którym jest zebrana bardzo starannie literatura w ojczystym języku. Czytelnik przekonywa się, że nie sięgając do obcych, może pośród swoich znaleźć sporo wiadomości.

Sama broszura ks. T. przedstawia krótką, ale głęboką analizę modernizmu, nowych poglądów filozoficznych w protestanckiej teologii, jeżeli to teologią można nazwać, scholastyki, która ma ożywić ducha naukowego w religii katolickiej, przyprowadzić do równowagi umysły.

Broszura powyższa zaleca się pięknym stylem i jasnością wykładu, mimo że sama treść tego kierunku filozoficznego nie jest łatwa. Dlatego można bez skrupułu polecić broszurę wszystkim, zwłaszcza tym, co w filozofii nowo-

żytnej pragną znaleźć rozwiązanie na zagadnienia, niedające dusznego spokoju... a tych jest teraz bardzo wielu.

Ks. dr. M. Nowakowski.

(*Wiadomości Archid. Warsz. Por. też ocenę w Ateneum Kapłańskim, Włocławek, 1911, t. V, str. 477*).

Współczesne zagadnienia podstawowe Nr. 3.

K. Knur. *Christus medicus* (Uzdrowienia, dokonane przez Chrystusa, wobec krytyki lekarskiej). Z niemieckiego przełożył Z. Rieff. Warszawa. Księgarnia „Kronika Rodzinna“, Podwale 4. 1912. Str. 137. Cena 70 kop.

Rzecz niniejsza traktuje o cudach Chrystusa ze stanowiska lekarskiego. Autor dowodzi, że Chrystus był lekarzem, ale nie w pospolitem znaczeniu tego słowa, gdyż nie używał nigdy prawie środków ziemskich do uleczenia, a leczył w mgnieniu oka choroby ciężkie, śmiertelne, wobec których medycyna dzisiejsza jest bezsilna.

We wstępie, ks. prof. Cz. Sokołowski daje wskazówki bibliograficzne, bardzo pożyteczne dla czytelników pragnących pogłębić wiadomości swoje z dziedziny nauki o cudach. Bibliografię, zebraną z dzieł polskich, wydawca złożył starannie i zaopatrzył uwagami.

Autor dziełka, po omówieniu krótkim historii i roli lekarzy w Starym Testamencie, opisuje choroby uzdrawianych przez Chrystusa ludzi, wskazuje dalej trudność wyleczenia ich

przez medycynę ówczesną i współczesną, oraz sposób, w jaki Zbawiciel uzdrawiał chorych i wskrzeszał zmarłych. Bardzo logicznie wiodzi trwałość tych uzdrowień, niedokonanych bynajmniej drogą sugestyi, jak chcą niektórzy, upatrujący podstępnie w chorych ewangelicznych histeryków, t. j. ludzi, których za pomocą sugestyi uzdrowić stosunkowo łatwo.

Książeczkę, napisaną treściwie i jasno, polecamy uwadze czytelników.

M-n P.

Por. też ocenę w *Wiadomościach Archid. Warszawskich*, 1912 r., str. 116—117.

Współczesne zagadnienia podstawowe Nr. 5.

Ks. Bolesław Wilanowski,
(magister Teologii.)

Proroctwa Starego Testamentu a Chrystyanizm.

Szkic krytyczno-porównawczy o początkach Chrześcijaństwa. Przedmowę dodał ks. Cz. Sokołowski, prof. Semin. Metropol. Warsz. Warszawa, nakład księgarni *Kroniki Rodzinnej* 1915, str. 94.

Szczerliwie Szanowny Wydawca zestawil tę pracę z poprzednią*), w tak krótkich odstępach czasu ogłaszając je drukiem. Proroctwa Starego Testamentu o Zbawicielu oraz własne Jego cuda, to jakby dwa światła olbrzymie,

*) K. Knur, dr. med. *Christus medicus*.—Uzdrowienia, dokonane przez Chrystusa, wobec krytyki lekarskiej.

okazujące nam w niewypowiedzianej jasności Boską Postać Naszego Mistrza. Przyjrzyjmy się nieco pracy ks. Wilanowskiego.

Oto naprzód autor zastanawia się nad źródłem natchnień i wiedzy proroków Starego Zakonu, dobitnie wykazując, że nie były one wytworem samego tylko umysłu ludzkiego, zwłaszcza wyróżniającej się wśród innych narodów rasy semickiej, ani też objawem gorącej i religijnej z natury duszy żydowskiej, lub genialnej jakiejś intuicji ludzi osobliwych. Nie, musimy wyznać, iż Prorocy byli narzędziami „jednej Ręki, kierującej losami ludzkości“, byli narzędziami Boga. A jakż jest kres ostateczny w rozwoju tych proroctw? Przez analizę faktów niechybnie dochodzimy do wniosku, iż w nauce Jezusa Chrystusa. W proroctwach izraelskich rozróżnić należy element czasowy, przypadkowy, oraz istotny, odnoszący się do Osoby Mesjasza i Jego dzieła. Dzieło Mesjasza w historycznym rozwoju proroctwich przepowiedni tak się przedstawia: 1-o, religią całej ludzkości ma być monoteizm; 2-o, będzie to monoteizm żydowski, *bo Jahwe ma być czczony przez wszystkie narody*; 3-o, stanie się to za pośrednictwem Żydów. Osobę Mesjasza dokładnie odmalowali prorocy, a proroctwa ich można podzielić na: genealogiczne, przepowiadające ród Mesjasza; osobiste, dotyczące Jego charakteru, miejsca urodzenia i t. d.; chronologiczne, wskazujące czas jego przyjścia. *Wszystkie proro-*

ctwa zrealizowały się w najdoskonalszy sposób a więc oczywisty wniosek, że Jezus Chrystus jest prawdziwie Synem Bożym, Bogiem, że religia chrześcijańska, dzieło takiego Mistrza, jest ostatecznym wyrazem Opatrzności względem ludzi, jest religią transcendentálną — Boską!

Staraliśmy się podać treść omawianej pracy i, jak widzimy, materiał jest bardzo obfity. Rzecz traktowana jest sumiennie, poważnie, to też przeczytanie tej książki przyniesie niemałą korzyść. Do ogólnej jasności wykładu zaledwie parę miejsc nie dostraja się. Można by zarzucić Szanownemu Autorowi, iż się zbyt jednostronnie zapatruje na chronologię biblijną (str. 70), jakoteż zbyt, zapewne, przywiązuje, wagę do *ściśle matematycznego* określenia czasu w prorocctwie Daniela (str. 74).

Kończę moją ocenę słowy ks. prof. Sokołowskiego, z jego doskonałego wstępu do niniejszej rozprawy (str. V—XX): „Spodziewamy się, że sympatyczne te pierwociny literackie młodego kapłana-pisarza staną się zapowiedzią przyszłych jego prac, niemniej sumiennych i wykończonych, czego mu z serca życzymy dla dobra naszego czytającego ogółu i *ad majorem Dei gloriam!*“.

Ks. A. Lipiński.

Wiadomości Arch. Warsz.; Rola, patrz też ocenę w Przeglądzie Powszechnym, Kraków. (1912, t. 114, str. 451).



217389

217389

„KRONIKA RODZINNA“

KSIĘGARNIA

Warszawa, Podwale № 4.

POLECA:

Współczesne zagadnienia podstawowe
wychodzące pod kierunkiem ks. profesora Cz. Sokołowskiego.

- № 1. Wasman E. Dawne i nowe badania
Haeckla nad zagadnieniem o człowieku
z niem. przeł. R. W. 40 kop.
- № 2. Tomczak K. ks. prof. Modernizm,
a protestantyzm liberalny 30 „
- № 3. Knur K. dr. med. Christus medicus?
(Uzdrowienia, dokonane przez Chry-
stusa, wobec krytyki lekarskiej). Tł.
z niem. Z. Rieff 70 „
- № 4. Wilanowski ks., M. Ś. T. Proroctwa
Starego Testamentu, a Chrystyanizm . 45 „
- № 5. Kurth G. Kościół w okresach prze-
łomowych historii. Tł. z francuskiego
ks. A. Szymański — „

W DRUKU:

- № 6. Nowakowski Piotr ks. Dr. Ś. T. „Uczyńmy
człowieka na obraz i podobieństwo nasze“.
Rozprawa egzegetyczno-dogmatyczna.

Prosimy adresować:

Warszawa, „Kronika Rodzinna“
księgarnia, Podwale № 4.